W NASTĘPNYM NUMERZE ROZPOCZYNAMY DRUK DZIENNIKA GEN. SIKORSKIEGO

Prezydent Czechosłowacji
GEN. LUDVIK SVOBODA
we Wrocławiu

Prezydent Czechosłowacji Ludvik Svoboda w towarzystwie przewodniczącego Rady Państwa Mariana Spychalskiego.

Drogiego gościa wita u progu Dolnego Śląska przewodniczący WRN Zdzisław Karst.

Fot. T. Drankowski

Wczoraj rano, o godz. 10.30 na granicy województwa wrocławskiego odbyło się uroczyste powitanie dostojnych Gości: prezydenta Czechosłowackiej Republiki Socjalistycznej — gen. Ludvika Svobody oraz przewodniczącego Rady Państwa PRL, marszałka Polski Mariana Spychalskiego. Prezydentowi Svobodzie towarzyszyły małżonka Irena i córka — doc. inż. Zoe Klusakova, a także minister obrony narodowej CSRS gen. Martin Dzur i sekretarz stanu w MSZ CSRS Vaclav Pleskot. Ze strony polskiej był obecny minister obrony narodowej, gen. broni Wojciech Jaruzelski.

Dostojnych gości witali sekretarze KW PZPR Antoni Banaszak, Ludwik Drożdż i Ryszard Rafajłowicz oraz przewodniczący Prezydium WRN — mgr Zdzisław Karst z małżonką. Po wręczeniu wiązanek kwiatów przez najmłodszych Dolnoślązaków, goście udali się autostradą do Wrocławia. Przed rezydencją na Krzykach dostojnych gości przywitał gospodarz miasta — mgr inż. Jerzy Panek.

Program pobytu prezydenta Svobody we Wrocławiu zawierał m. in. spotkanie z kierownictwem politycznym i administracyjnym miasta, z profesorami Uniwersytetu Wrocławskiego i kierownictwem innych wyższych uczelni wrocławskich, wzięcie udziału w wiecu przyjaźni zorganizowanym przez załogi wrocławskich zakładów pracy oraz uczestnictwo w uroczystym otwarciu I Ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieży. W godzinach wieczornych przewidziano powrót gości czechosłowackich drogą lotniczą do Pragi.

Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

Wiadomości

nr 36/649
Wrocław, 7 września 1969 r. Cena 2 zł

tygodnik społeczno-polityczny

Prezentujemy laureatów „Dnia Polskiego": pierwsze miejsce — reprezentant ZSRR, Muslim Magomajew, drugie — Bułgarka Jordanka Christowa (z lewej), a trzecie Hiszpanka Conchita Bautista (z prawej).

CAF — Fot. Ukiejewski

SOPOT 69

W ciągu tych kilku dni cała Polska gromadziła się wieczorem przed telewizorami, by śledzić przebieg IX Międzynarodowego Festiwalu Piosenki w Sopocie. Te emocje mamy już za sobą. Pragniemy jednak przedstawić, w formie krótkich wywiadów, niektórych uczestników festiwalu.

HENRI DES

SEROKA

MUSLIM MAGOMAJEW, lat 27, pochodzi z azerbejdżańskiej rodziny. Jego dziadek (również Muslim) był znanym kompozytorem, twórcą dwóch oper narodowych. Ojciec — artysta-malarz poległ podczas wojny w Polsce. Sam piosenkarz jest artystą operowym, był m. in. na stypendium w mediolańskiej „La Scali". Zaliczany jest do czołówki piosenkarzy ZSRR.

— Co pan najchętniej śpiewa?

— Dobrą muzykę. Równie chętnie występuję na estradzie jak i na deskach operowych.

— Jak czuje się pan w Polsce?

— Jak u siebie w domu.

— Jak to się stało, że będąc śpiewakiem operowym stał się pan także piosenkarzem i to z tak urozmaiconym repertuarem — włoskim, francuskim, angielskim.

— W rodzinie mojej od lat ugruntowane były muzyczne tradycje. Mój dziadek, Muslim Magomajew, był pierwszym azerbejdżańskim kompozytorem, autorem dwóch oper „Szach Izmail" i „Nergiz". Byłem więc wychowany w atmosferze kultu muzyki i dobrego śpiewu. Mój ojciec artysta-malarz, jak już wspomniałem, zginął w Polsce. Gdy miałem 7 lat rozpocząłem naukę w szkole muzycznej, w Baku. Przełom w moich zainteresowaniach muzycznych nastąpił, gdy jako 13-letni chłopak zobaczyłem film „Młody Caruso" z Mario del Monaco w roli głównej. Postanowiłem wtedy zostać śpiewakiem. Chodziłem w Baku nad morze i tam godzinami ćwiczyłem, śpiewając ulubione neapolitańskie melodie. Potem nastąpił okres entuzjazmowania się muzyką jazzową i estradową, której zostałem wierny do dziś. W roku 1959 zostałem wysłany jako stypendysta do La Scali. Przez 2 lata studiowałem pod kierunkiem świetnego pedagoga — Gennero Barra. Po powrocie, w azerbejdżańskiej operze, rola Figara w „Cyruliku sewilskim", Scarpia w „Tosce" i tytułowa rola w „Rigoletcie".

— A równolegle z tym — muzyka lekka?

— Oczywiście! Udział w festiwa-

Dokończenie str. 8

„OSOBISTA SPRAWA" PAWŁA MACZELA

Anna Jastrzębska

Jak się ma pecha, to i na prostej drodze można złamać nogę. Coś takiego przytrafiło się kierownikowi bolesławieckiego oddziału „Mody Dolnośląskiej". Wszystko jednak, co w konsekwencji tego niefortunnego potknięcia nastąpiło później, nie było już pechem, lecz rezultatem lekceważenia pracownika przez pracodawcę.

BYŁO to w połowie ubiegłego roku. Zdarzenie należało do gatunku skomplikowanych i wymagało długotrwałego leczenia a więc i zwolnienia lekarskiego. Kiedy pierwsze trzy miesiące tego przymusowego urlopu dobiegały końca, a wszystko wskazywało na to, że leczenie potrwa jeszcze co najmniej z kwartał, Paweł Maczel zaczął się niepokoić. Nie uległ wypadkowi przy pracy, nie leczy ani choroby zawodowej, ani społecznej — może więc zostać zwolniony. To co, że pracuje tu już dwunasty rok, że jest fachowcem legitymującym się dyplomem mistrza krawieckiego, świadectwem ukończenia rocznego kursu organizacji i ekonomiki usług, że za parę miesięcy ukończy 5-letnie Technikum Odzieżowe we Wrocławiu? Przepisy są przepisami, i jeśli we wrocławskiej dyrekcji podejmą decyzję ż. zakład w Bolesławcu nie może dłużej pozostawać bez kierownika, zwolnią chorego i przyjmą zdrowego.

Nie było jednak tak źle. Zamiast wypowiedzenia, na koniec miesiąca nadeszła wiadomość, iż ze względu na długoletni staż pracy w przedsiębiorstwie i nieraganne kierowanie powierzoną mu placówką, tudzież talenty organizacyjne i umiejętność kształtowania dobrych stosunków między ludzkich — Paweł Maczel pozostaje pracownikiem „Mody Dolnośląskiej". Niech skutecznie i spokojnie leczy chorą nogę.

Bardzo to było ładne. Paweł Maczel, nie bacząc na zwolnienie lekarskie i ciężki gips na nodze, o kulach przychodził do zakładu przy ul. Mickiewicza i jak mógł, pomagał w pracy. Sporządzał zamówienia, raporty, analizy itp. Nie przerywając nauki w technikum, także o kulach jeździł do Wrocławia na egzaminy.

Nadszedł 27 grudnia, zaś komisja lekarska miała wydać werdykt, czy metalowe pręty i śruby ze zrastającej się kości można już wyjąć, czy też chory jeszcze przez 13 tygodni skazany będzie na gips, kule i druk L-4.

Tegoż 27 grudnia do mieszkania Maczelów zawitała personalna z Wrocławia, pani Sokołowska. Celem tej wizyty była konkretna propozycja, wyrażona jednak w formie prośby. Chodziło o to, by kierownik Maczel spróbował poprosić lekarza z komisji o przełożenie na późniejszy termin skierowania do szpitala celem wyjęcia z nogi owych metalowych detali:

— Naszej dyrekcji bardzo zależy na pana powrocie do pracy. Wie pan — nowy rok, nowe plany, zadania...

Już 30 grudnia, pełen dobrych chęci kierownik Maczel pokuśtykał przed oblicze komisji. Nieco zdziwieni roboczym zapałem pacjenta lekarze przychylili się do jego prośby i wyrazili zgodę na przystąpienie do pracy. Skończyło się zwolnienie.

Urodowany takim obrotem sprawy Paweł Maczel udał się do swego zakładu, by telefonicznie powiadomić dyrekcję, iż zgodnie z jej życzeniem od dziś przystępuje do pracy.

Dokończenie NA STR. 4

Fakty tygodnia

Zambijska droga do emancypacji

PRASA zachodnia obszernie komentowała decyzję o nacjonalizacji kopalni miedzi, jaką przed dwoma tygodniami podjął rząd Zambii. Atakowano z nieukrywaną irytacją postanowienie prezydenta Kenetha Kaundy, które zagroziło interesom dwóch towarzystw eksploatujących zambijskie miedziowe złoża.

Oba towarzystwa mają dość jednoznaczny charakter, jeśli chodzi o ich skład osobowy. I tak np. 80 proc. akcjonariuszy „Roan Selection Trust" mieszka w Stanach Zjednoczonych, a w drugim towarzystwie „Anglo-American Corporation" przeważę ma kapitał południowoafrykański.

Zambia jest krajem, który znajduje się na styku dwu rejonów kontynentu. Wciśnięta między Angolę i Mozambik, kolonie portugalskie, graniczy na południu z rasistowską Republiką Południowo-Afrykańską.

Prezydent Kaunda usiłował prowadzić politykę umiarkowaną. Nie miał on jednak zbyt wiele pola do działania, gdyż okowy ekonomicznej zależności stawiały pod znakiem zapytania niepodległość kraju. Nacjonalizacji pokładów rudy miedzi domagała się przede wszystkim postępowa młodzież Zambii, zrzeszona w młodzieżowej sekcji partii UNIP.

Sformułowano także hasło nawołujące do usunięcia wszystkich białych z terytorium Zambii. Lewicowe skrzydło rządzącej partii UNIP, kierowane przez wiceprzewodniczącego Simona Kapwewe, poparło żądania młodych Zambijczyków. Faktem, który niewątpliwie wpłynął na wzrost nastrojów patriotycznych, była decyzja najwyższego sędziego (Angolika), który nie dopatrzył się winy w postępowaniu dwóch żołnierzy portugalskich ujętych przy naruszaniu granicy między Zambią i Angolą.

Prezydent Kenneth Kaunda, podobnie jak wielu innych postępowych przywódców afrykańskich, dąży do uzyskania niezależności ekonomicznej. Decyzja o częściowej nacjonalizacji złóż miedziowych jest pierwszym krokiem prowadzącym do osiągnięcia tego celu. Jest także przedsięwzięciem, które może być zrealizowane pod warunkiem poparcia rządu w Lusaka przez wszystkie plemiona i grupy etniczne zamieszkujące Zambię.

Pemba, Luze, Czonge i Lumpa, wszystkie plemiona zambijskie muszą się zjednoczyć.

Trybalizm, przejawiający się niekiedy w starciach między różnymi grupami winien ustąpić ponadplemiennym, ogólnopaństwowym racjom.

W zamysłach Kaundy decyzja o nacjonalizacji korzystna dla wszystkich czarnych mieszkańców Zambii ma być stymulatorem przyspieszającym proces integracyjne.

Znaczenie tych procesów docenia także Simon Kapwewe, który pod koniec ubiegłego tygodnia wycofał swą poprzednią prośbę o dymisję z zajmowanego stanowiska wiceprzewodniczącego partii UNIP. Motywacja zmiany decyzji była jednoznaczna. S. Kapwewe oświadczył, że „ostatnie zmiany umożliwiające Zambii przejście do nowego etapu wymagają konsolidacji całego narodu".

Prezydent i przewodniczący UNIP Kaunda znany jest w Afryce ze swego realizmu. Wie on, że nie można, na początek wymagać zbyt wiele. Dlatego też rozmowy, które rozpoczęły się w Lusaka 29 sierpnia br., a które prawdopodobnie przedłużą się poza 21 grudnia 1969 roku, urabiować będą na platformie sformułowanej przez Zambię w gnosób niezwykle umiarkowany i ostrożny.

Rozmowy dotyczyć będą:

1) warunków, w jakich rząd zambijski przejmie ponad połowę udziałów towarzystw eksploatujących złoża miedzi;

2) udziału tych towarzystw w przyszłości w eksploatacji złóż.

I tak oto Zambia, jedna z najmłodszych republik afrykańskich, postawiła pierwszy nieśmiały krok na drodze do emancypacji gospodarczej.

ŚWIAT

Numer oddano do druku 3. IX. 1969 r.

● W Lipsku otwarto Targi Jesienne. Ekspozycję polską zwiedzili — w towarzystwie ambasadora PRL w Berlinie T. Gedego — W. Ulbricht, W. Stoph i E. Honecker.

● W miastach zachodnioniemieckich odbyły się w ub. niedzielę prowokacyjne imprezy odwetowców w związku z 30 rocznicą rozpoczęcia II wojny światowej. Przemawiał na nich m.in. przewodniczący Bundestagu von Hassel i przewodniczący związków przesiedleńców Rehs. W Bad-Godesberg zorganizowano tzw. kongres ziomkostw wschodnioniemieckich, na którym zebrali się przedstawiciele wielu odwetowych organizacji. Wśród honorowych gości kongresu znajdował się boński minister do spraw ogólnoniemieckich Wehner oraz przewodniczący Bundestagu von Hassel. Ignorowanie sytuacji powstałej w Europie w wyniku rozgromienia Niemiec hitlerowskich, roszczenia terytorialne wobec innych państw, oszczerstwa rzucane na pokojową politykę Związku Radzieckiego, NRD i innych państw socjalistycznych — oto nić przewodnia wystąpień przewodniczącego związku ziomkostw wschodnioniemieckich Jahna i członka zarządu ziomkostwa Niemców z Pomorza, Bismarcka. Przemawiając na wiecu w Bad-Godesberg, Wehner próbował usprawiedliwić roszczenia kół rządzących w NRF do wyłącznego reprezentowania całego narodu niemieckiego. Przeciwko uznaniu istniejących w Europie granic wypowiedział się także von Hassel. W swoim przemówieniu przewodniczący Bundestagu w bezczelny sposób zaatakował politykę Związku Radzieckiego. Przekazał on uczestnikom kongresu pozdrowienia od kanclerza NRF Kiesingera i jego podziękowanie „za harmonijne, wzajemne zrozumienie". Odwetowe imprezy odbyły się także we Freiburgu i Waleshutej.

Huragan „Camille", który ostatnio przeszedł nad kilkoma stanami USA, dokonał ogromnych zniszczeń. Towarzyszące wichurze duże opady deszczu spowodowały w niektórych rejonach katastrofalne powodzie. Na zdjęciu: Miejscowość Scottsville pod wodą.

CAF — UPI

● W ostatnią niedzielę odbył się w Dortmundzie wiec przedwyborczy zachodnioniemieckiej CDU z udziałem około 12 tysięcy członków i sympatyków tej partii. Kanclerz Kiesinger, a zarazem przewodniczący CDU, wygłosił przemówienie utrzymane w duchu zimnowojennym. Skrytykował on ostro przywódcę SPD W. Brandta za jego wypowiedzi dotyczące stosunków Wschód — Zachód. Również zimnowojenne przemówienie wygłosił przewodniczący CSU, Strauss.

● Na NPD-owskiej liście wyborczej do Bundestagu znajduje się m.in. 11 hitlerowców posiadających staż NSDAP-owski jeszcze sprzed dojścia Hitlera do władzy.

● 35 proc. młodzieży amerykańskiej kształcącej się w szkołach średnich i wyższych zażywa marihuanę.

● Światowa Organizacja Zdrowia podała, że co roku, w wypadkach drogowych ginie 150 tysięcy ludzi, a 6 milionów zostaje rannych.

● W Kairze, w związku z podpaleniem meczetu Al-Aksa, obradowała nadzwyczajna Sesja Ligi Arabskiej. Postanowiono na niej zwołać konferencję krajów muzułmańskich. Przypuszcza się, że w obradach konferencji weźmie udział — poza państwami arabskimi — m.in. Pakistan, Indonezja, Turcja.

POLSKA

● W poniedziałek, 1 września br. o godz. 12 w południe — w 30 rocznicę napaści Hitlera na Polskę — we wszystkich miastach i osiedlach naszego kraju odezwały się syreny alarmowe i fabryczne, a w portach okrętowe. Od Odry i Nysy po Bug i od Bałtyku po Karpaty zamarł wszelki ruch; cała Polska uczciła 2-minutową ciszą pamięć wszystkich swoich żołnierzy poległych w walkach z III Rzeszą w latach 1939 — 45 o wolność i niepodległość naszego kraju.

Szczególną wymowę, w odniesieniu do przeszłości sprzed 30 lat, ma fakt, że na uroczystości te przybył do nas — 1 września br. — pierwszy obywatel bratniej nam Czechosłowacji, prezydent CSRS, gen L. Svoboda, wraz z małżonką i córką, w towarzystwie ministra Obrony Narodowej gen. M. Dzura i innych osobistości. Przybyła też — razem z prezydentem — grupa b. żołnierzy stoczmowanej w 1939 r. w Krakowie Legionu Czechów i Słowaków. Dostojnego gościa i towarzyszące mu osoby powitali na lotnisku Okęcie członkowie najwyższych władz partyjnych i państwowych: Wł. Gomułka, M. Spychalski, J. Cyrankiewicz.

Tego samego dnia — w godzinach popołudniowych — na Rynku Starego Miasta w Warszawie odbył się z udziałem Wł. Gomułki, M. Spychalskiego, J. Cyrankiewicza oraz L. Svobody i towarzyszących mu osób antywojenny wiec zwołany w 30 rocznicę napaści hitlerowskich Niemiec na Polskę i wybuchu drugiej wojny światowej.

„Cały naród polski stanął do walki w obronie swej wolności i niepodległości. — powiedział na wiecu M. Spychalski. — Wrześniowa wojna obrona Polski jest przykładem patriotyzmu, bohaterstwa, hartu i siły prawdziwie powszechnego, ludowego oporu. Oddajemy dziś dalszą część czynowi wrześniowego żołnierza i oficera, którzy do końca wytrwali na bojowych pozycjach. Oddajemy część obrońcom Westerplatte i Poczty Gdańskiej, Helu i Modlina, żołnierzom spod Kutna i Kocka i wszystkich oddziałów, które już po kapitulacji Warszawy kontynuowały walkę na polach Podlasia, Lubelszczyzny i Kielecczyzny. Nie zapomnimy o krwawej ofierze śląskich harcerzy, którzy poszli do walki u boku ojców i starszych braci. Składamy hołd patriotyzmowi polskich komunistów, którzy prosto zza krat szli do boju w obronie swej ojczyzny. Oddajemy najwyższą część Robotniczym Batalionom Obrony Warszawy i Czerwonym Kosynierom Wybrzeża. Czcimy pamięć wszystkich poległych w obronie Warszawy i całego kraju. Wojna narodu polskiego z hitlerowskim najeźdźcą nie skończyła się we wrześniu. Polacy walczyli od początku wojny do jej ostatniego dnia na wszystkich frontach świata. Staliśmy się współuczestnikami zwycięstwa nad hitlerowskim najeźdźcą. Przez cały okres wojny okupowane terytorium Polski ogarnięte było działaniami partyzanckimi, społeczeństwo polskie stworzyło szeroki front oporu przeciwko siłom wroga. Walka ta i odniesione w niej zwycięstwa okupione zostały nieopisanymi ofiarami".

„Wspominając historyczną datę 1 września 1939 roku przezywam wspólnie z wami głębokie wzruszenie. — powiedział na wiecu prezydent L. Svoboda. — Napaść na Polskę była wydarzeniem, które wstrząsnęło każdym... W niedługim czasie po Czechosłowacji Polska stała się kolejną ofiarą faszystowskiej ekspansji. To antyludowa polityka burżuazyjnych rządów naszych krajów doprowadziła je do tej tragedii, nie potrafiła obronić podstawowych żywotnych interesów naszych narodów i bezpieczeństwa naszych krajów, zamiast współpracy w walce przeciwko wspólnemu wrogowi kierowała je przeciwko sobie. Dobrze jednak wiemy, że postępowi działacze polscy w krytycznym roku Monachium domagali się obrony Czechosłowacji. Już wówczas słusznie uświadamiali sobie fakt, że atak na naszą ojczyznę oznacza przygotowanie ataku na Polskę. My zaś napaść na Polskę przyjęliśmy jako wezwanie do aktywnego udziału w jej obronie. Wojska hitlerowskie napadły na Polskę przeważającymi siłami. Mężni synowie polskiego narodu dokonywali jednak prawdziwych cudów odwagi. Bohaterska obrona stolicy Warszawy i twierdzy Modlińskiej, bohaterskie walki na Westerplatte czy na Helu zostały zapisane w historii II wojny światowej jako przykłady odwagi i poświęcenia. O męstwie i bohaterstwie patriotów polskich świadczy również to, że wojska nazistowskie straciły w Polsce tylu żołnierzy, co w w swoich następnych wyprawach wojennych w Europie do wiosny 1941 r. Do wyeliminowania z walki jednej polskiej dywizji potrzebowały one trzy i pół raza więcej amunicji niż dla zniszczenia podobnej jednostki na froncie zachodnim wiosną 1940 r. Z głębokim szacunkiem i wzruszeniem składaniamy głowy przed najwyższymi ofiarami, jakie złożyła Polska na ołtarzu wspólnej walki z faszyzmem."

Dzień wrześniej, na Górze św. Anny w Opolu odbyła się wielka manifestacja ludności Górnego i Opolskiego Śląska zwołana z okazji 50 rocznicy I Powstania Śląskiego i 30 rocznicy agresji faszystowskich Niemiec na Polskę. Do 150 tysięcy uczestników tej manifestacji przemawiał E. Gierek.

W dziesiątkach miast i osiedli — m.in. w Bydgoszczy i Łodzi — odsłonięto pomniki i tablice upamiętniające bohaterską walkę narodu polskiego w latach 1939—45. W całym też kraju złożono dziesiątki tysięcy wieńców i wiązanek kwiatów na grobach żołnierzy armii regularnych, członków ruchu oporu, przy miejscach straceń i kaźni. W Warszawie odbył się też apel poległych.

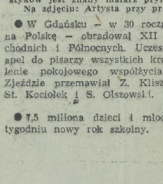

Jedną z najciekawszych postaci wśród amatorów-plastyków jest znany malarz prymitywista Teofil Ociepka. Na zdjęciu: Artysta przy pracy. CAF — Fot. Gill

● W Gdańsku — w 30 rocznicę niemieckiego najazdu na Polskę — obradował XII Zjazd Pisarzy Ziem Zachodnich i Północnych. Uczestnicy Zjazdu wystosowali apel do pisarzy wszystkich krajów wzywający o utrwalenie pokojowego współżycia między narodami. Na Zjeździe przemawiał Z. Kliszko. Obecny był również St. Kociołek i S. Olszowski.

● 1,5 miliona dzieci i młodzieży rozpoczęło w tym tygodniu nowy rok szkolny.

LIST Z

LATO CZEKA

ZAWARTE w tytule stwierdzenie ma niewątpliwie aspekt przyszłościowy. Wynika jednak z najnowszej przeszłości. Bo chociaż do następnego lata, tym razem 1970 roku, pozostały jeszcze trzy kwartały z okładem, już teraz głośno o tej porze roku w kręgach działaczy organizacji młodzieżowych oraz wśród samej młodzieży. Powstał nawet na ten temat swego rodzaju spór, który oby można było w niedługim czasie nazwać sporem pozytywnym.

W ostatnich dniach sierpnia odbyła się w klubie „Skarpa" wreszcie zakończenia prowadzonej w stolicy od czerwca br. akcji „Lato w mieście". Rozdano podziękowania (najlepiej spisała się dzielnica Żoliborz), dyplomy i nagrody i w ten sposób całe przedsięwzięcie można by uznać za zakończone, gdyby nie... wątpliwości. Zgłoszono je zresztą nie po raz pierwszy. Już trzeba w szczególnym stopniu wątpliwości postawić, że nader słuszna i pożyteczna akcja organizowania wolnego czasu młodzieży powinna trwać cały rok. Oczywiście, jej formy muszą się zmieniać. W zimie — jak wiadomo — nie gra się w „noge", ani w „ziatka", trudno też organizować np. zręcznościowe jazdy na rowerze, czy wrotkach. Ale również — do tego wniosku doszli działacze młodzieżowi wspólnie z wychowawcami — jesienią, zimą i na wiosnę istnieje społeczna potrzeba nie tylko dbałości o fizyczną sprawność młodzieży, ale także o jej społeczną postawę: koleżeństwa, doceniania zbiorowego wysiłku, dbałości o racjonalne wykorzystanie czasu, jaki po miesiącach wolnego czasu po wykończeniu zadań domowych.

Tegoroczne „Lato w mieście" organizowano w ponad 400 punktach stolicy, którym patronowały dzielnicowe komitety organizacji młodzieżowych, Kuratorium Okręgu Szkolnego oraz dzielnicowe rady narodowe. Panuje zgodna opinia, że akcja w pełni zdała egzamin, przyczyniając się nie tylko do zapełnienia dzieciom i młodzieży rozrywki i zabawy, ale także do wzbogacenia procesu wychowawczego oraz podniesienia jego dydaktycznych wartości. Nie więc dziwnego, że od dłuższego czasu pojawiają się propozycje, ba, nawet żądania, aby „Lato w mieście" trwało cały rok. Żeby placówki te posiadające akcji, dysponujące sporym zasobem doświadczenia i mające już wypracowane metody działania — nie przerywały wraz z zakończeniem wakacji swojej pracy, lecz żeby działały nadal. Idzie o to, aby placówka nie wracała do swojej roli monopolisty w zapełnianiu młodemu i najmłodszemu pokoleniu wolnego miejsca do spędzenia wolnego czasu. Nie bez znaczenia jest też fakt, że akcja „Lato w mieście" dysponuje już doświadczoną kadrą wychowawczą — zastępem instruktorów o niemałym stażu, a także bazą materialną zaopatrzoną bogato w urządzenia sportowe i także sprzęt. Są więc — uważa część działaczy — pełne szanse aby „Lato w mieście" trwało cały rok. Niektórzy aktywiści młodzieżowi i szkolni idą nawet dalej. Sądzą mianowicie, że „Lato w mieście" należałoby uruchomić w okresie roku szkolnego nawet na dwie zmiany. Tak, aby przed południem mogła z tej akcji korzystać młodzież uczęszczająca do szkół po południu — i odwrotnie.

W chwili gdy relacjonuję te opinie, nie ma jeszcze ostatecznych decyzji. Być może i dlatego, że wcale głośno zabrzmiał też głos oponentów. Ostrzegają oni, że założenia akcji mogą przerosnąć możliwości organizatorów, przestrzegają, że wzyskane dotychczas doświadczenia mogą się okazać niedostateczne, wyrażają obawy, że „Lato się przeje" i zabraknie chętnych zarówno do pracy organizatorskiej, jak i samych uczestników. Miałem możność przytrzeć się „Lato w mieście" w najlepszej pod tym względem dzielnicy Warszawy, Żoliborzu i na tej podstawie mogę stanowczo wyrazić nadzieję, że nie dojdzie do ograniczenia akcji w ramach jednej pory roku. W świetle wzyskanych obserwacji i poczynionych spostrzeżeń wydaje się bowiem, że jest to przedsięwzięcie wyjątkowo dla młodzieży atrakcyjne, o dużych społecznych wartościach i dlatego zasługujące nie tylko na kalendarzowe przedłużenie, ale także na naśladownictwo i popularyzację w innych dużych ośrodkach. Powinda popularna piosenka, że „Lato, lato, lato czeka, razem z latem czeka czeka...". Myślę, że razem z latem — i nie tylko z latem — czeka też miasto.

BOGDAN KUJAWA

DOLNY ŚLĄSK

* Tematem narady, która we wtorek ub. tygodnia odbyła się w KW PZPR, były problemy pracy nad kształtem przyszłej 8-latki w zakładach przemysłowych. Zebrani na naradzie sekretarze komitetów zakładowych podkreślali, iż należy przy tym równolegle działać dla dalszej poprawy warunków pracy zakłóg fabrycznych. Obradom przewodniczył W. Zaborowski, zastępca kierownika Wydziału Ekonomicznego KW PZPR.

* W trzy dni później sekretarze komitetów powiatowych i dzielnicowych obradowali w KW PZPR nad przebiegiem realizacji II plenum KC w przemyśle. W naradzie uczestniczyli sekretarze KW — L. Drożdż, R. Rafajłowicz, kierownik Wydziału Budownictwa — Z. Ukieja, referat wygłosił zastępca kierownika Wydziału Ekonomicznego — W. Zaborowski.

* W pamięcią rocznicę Wrzesinia społeczeństwo składało kwiaty na cmentarzach i przy pomnikach bohaterów poległych w walkach z faszystowskim najeźdźcą. Na cmentarzu wojskowym na Oporowie złożono dziesiątki wieńców — stawiły się tam delegacje władz, organizacji społecznych, Frontu Jedności Narodu, stronnictw politycznych. W imieniu KW PZPR — wieniec złożyli: sekretarz — J. Paluch, kierownik Wydziału Propagandy — J. Siezieniewski, zastępca kierownika Wydziału Nauki i Oświaty — C. Szydłowski.

* W dniach od 11—14 września już po raz piąty odbędzie się w Lądku Zdroju Festiwal Muzyki Rosyjskiej i Radzieckiej. Przewidziano osiem koncertów w tym sześć dla widowni czterotysięcznej. Organizatorom udało się zdobyć dla imprezy świetnych wykonawców, będzie tam m.in. występował Wojciech Siemion, śpiewając ballady Okudżawy.

* Inny festiwal — mianowicie Festiwal Orkiestr Wojskowych rozpoczął się 2 i potrwa do 7 września w Świeradowie. Każda orkiestra wykonuje obowiązujący program konkursowy i dowolnie najciekawsze pozycje z repertuaru własnego.

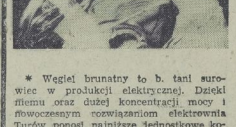

* Węgiel brunatny to b. tani surowiec w produkcji elektrycznej. Dzięki niemu oraz dużej koncentracji mocy i nowoczesnym rozwiązaniom elektrownia Turów ponosi najniższe jednostkowe koszty w wytwarzaniu mocy w kraju.

* Rozpoczął się nowy rok szkolny. Do szkół napływają już mniej liczne roczniki. W tym roku do klas pierwszych idzie o 20.000 dzieci mniej, w porównaniu z liczbą absolwentów, którzy ukończyli ostatnio szkoły podstawowe. W samym tylko Wrocławiu w szkołach wszystkich typów będzie się uczyło 130 tysięcy uczniów. A więc mniej więcej co czwarty wrocławianin to uczeń.

* Wrocław gości ok. 4 tysięcy dziewcząt i chłopców z całego kraju, uczestniczących w I Ogólnopolskiej Spartakiadzie Młodzieży, największej z dotychczasowych imprez sportowych. Trwają zażarte boje, rozdzielono już pierwsze medale. Uczestnicy mają swoje własne pismo „Echo Spartakiady".

* Z okazji odbywającej się spartakiady najlepszym dziennikarzom sportowym wręczono nagrody i odznaki zasłużonych działaczy kultury fizycznej. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski odznaczony został red. Jerzy Zmarzlik, nagrodę „Złotego Pióra, zdobył red. Witold Dański. Wśród gości byli m. in. sekretarz KW PZPR — R. Rafajłowicz, przedstawiciele władz państwowych GKKF, CRZZ, SDP.

* Ukazał się „Informator o bibliotekach województwa wrocławskiego". Zawiera on dane o 586 bibliotekach, których zbiory mogą służyć szerszemu ogółowi. Wzięto pod uwagę tylko te biblioteki, których zbiory przekraczają 1000 woluminów z pominięciem bibliotek szkolnych i niektórych innych typów.

* Dwaj znani i zasłużeni dziennikarze wrocławscy udekorowani zostali przez wice prezesa ZG RSW „Prasa" E. Króla odznaczeniami państwowymi. Są to: Julian Barnosz — publicysta „Gazety Robotniczej", który otrzymał Srebrny Krzyż Zasługi i Ryszard Pollak — sekretarz redakcji „Wiadomości", który otrzymał Złoty Krzyż Zasługi. Gratulujemy!

LISTY i polemiki

USŁUGI DLA PODSUDECKICH ROLNIKÓW

Dyskusja opublikowana na łamach Waszego pisma zostanie wykorzystana do dalszego rozwoju działalności usługowej. Zwierzenie, że spółdzielczość zaopatrzenia i zbytu dba przede wszystkim o interes PZGS i GS jest słuszne, bo wynika z konieczności budowy baz spółdzielni magazynów zbożowych i nawozowych, piekarni, punktów skupu, punktów usługowych, pawilonów handlowych co przyczynia się do poprawy zaopatrzenia rolnictwa i ludności wiejskiej.

Do rozwoju usług remontowo-budowlanych WZGS i zrzeszone związki spółdzielni wkładają dużo wysiłku. Świadczy o tym fakt, że blisko 80 proc. nakładów inwestycyjnych na działalność usługową w latach 1966—69 przeznaczonych zostało na rozwój usług remontowo-budowlanych. W wyniku tego wpływy za usługi dla ludności wzrosły z 12,7 mln zł w 1966 r. do 23 mln zł w 1969 r. Stanowi to prawie 30 proc. obrotów krajowych w pionie CRS.

Na terenie powiatów podsudeckich zorganizowano 18 wypożyczalni sprzętu budowlanego i zakładamy, że w bieżącym roku ich ilość wzrośnie do 28.

Wypożyczanie sprzętu budowlanego — jak praktyka potwierdza — są najlepszą pomocą dla rolników w prowadzeniu remontów budynków gospodarczych i mieszkalnych.

Krytyka działalności w tych powiatach, a szczególnie w powiatach Bystrzyca i Nowa Ruda jest słuszna i na te powiaty zwrócimy uwagę w najbliższej przyszłości.

Kierownik Działu Koordynacji Usług mgr inż. BOGDAN SZCZOT
Prezes Zarządu WZGS J. BOBERSKI

ODPOWIEDZI REDAKCJI: p. Jerzy Prokurat — Mirosławice, pow. Lubin. Korespondencję wykorzystamy. Prosimy o podanie swojej roli w akcji i w czyim imieniu występowany jest apel do rolników?

KSZTAŁT PRZYSZŁOŚCI

Janusz Żelezik

NIE wiemy, po prostu nie wiemy jaki ma być kształt naszej przyszłości. Od kilka tygodni rozpoczynamy pracę od nowa. Jesteśmy w istocie na tym samym miejscu. Zjednoczenie zmieniało nam już 5 razy wskaźniki i koncepcje. Praca dziesiątków ludzi idzie na marne...

Taką właśnie otrzymałem odpowiedź w Fabryce Urządzeń Mechanicznych w Chocianowie na pytanie o przebieg realizacji uchwały II plenum KC PZPR. Nie jest to, niestety, przypadek odosobniony. Niektóre zjednoczenia nie mają jeszcze pełnej koncepcji rozwoju branży. Znajdują się na etapie poszukiwań najlepszych rozwiązań. Nie można wskazionować tych dobrych intencji, jednakże poszukiwania te trwają zbyt długo. A czas nie stoi w miejscu. W zakładach przemysłowych tysiące ludzi zaangażowano do prac nad koncepcją przyszłego planu 5-letniego. Wyszukuje się rezerwy wytwórcze, ustala listy preferowanych wyrobów, układa plany modernizacji procesów wytwarzania itd. Chodzi przecież o maksymalne wykorzystanie posiadanego potencjału wytwórczego, a tym samym o zwiększenie efektywności nakładów na inwestycje.

Weszliśmy w najważniejszą fazę opracowywania planów na lata 1971—75. Na tym etapie ścierają się najprzeróżniejsze koncepcje, często diametralnie różne od tych jakie reprezentują zjednoczenia. Wspomnieliśmy o FUM w Chocianowie. Fabryka ta jest ważnym ogniwem w przemyśle maszynowym. Produkuje wstępnie obrobione korpusy do obrabiarek, cylindry do maszyn papierniczych (jedyny producent w kraju) oraz wiertarki.

Ostatnio do produkcji weszła gruntownie nowa wiertarka, której konstrukcja opracowano w fabryce. Oznaczono ją symbolem WED-32. Legitymuje się ona bardzo wysokimi parametrami techniczno-eksploatacyjnymi. Nie ustępuje podobnym wytwarzanym przez wyspecjalizowane firmy na świecie. Na ostatnich Międzynarodowych Targach w Poznaniu wzbudziła duże zainteresowanie wśród importerów polskich obrabiarek. Przewiduje się tch eksport w granicach 30—50 szt. jeszcze w tym roku. Podjęła się nimi Czechosłowacja i Turcja.

Zjednoczenie dążąc do specjalizacji zakładów uważa, że FUM w Chocianowie winna być producentem podzespołów do obrabiarek przy zachowaniu trudnej, opanowanej produkcji cylindrów papierniczych. Mówiąc inaczej, pozbawiono by FUM wyrobów firmowych (wiertarki) FUM zeszłaby wówczas do roli kooperanta. Koncepcja ta, nie znalazła aprobaty wśród załogi tego zakładu. Podobnie w wątpliwość poddaje się możliwość czterokrotnego zwiększenia produkcji do 1975 r. I to z 2 zasadniczych powodów — deficytu mocy przerobowej przedsiębiorstw budowlanych (projektuje się znaczne nakłady na inwestycje w FUM) i niedostatku siły roboczej. LGOM jest dla fabryki poważnym konkurentem — oferuje nie tylko niedle płatną pracę, ale i... mieszkania.

Nie znaczy to wcale, że załoga broni się przed zwiększaniem produkcji. Przeciwnie. Z opracowanych wstępnych założeń planu wynika dość znaczny przyrost produkcji odlewów kadłubów, cylindrów do maszyn papierniczych. Opracowano także plan zwiększenia produkcji wiertarek. Zamierza się już w roku przyszłym osiągnąć pracochłonność wielu wyrobów o 30 tys. normogodzin. Jednakże plany te, jak dotąd, nie pokrywają się z dotychczasowymi koncepcjami zjednoczenia. Jaki będzie ostateczny kształt, profil zakładu, nie wiadomo. A czas już najwyższy.

DIAMETRALNIE różna jest koncepcja planu Wytwórni Części Zamiennych w Podgórzynie od zamierzeń Zjednoczenia Przemysłu Maszyn Włókienniczych. Zakład ten jest producentem łańcuchów Galla do maszyn rolniczych, sprężyn do podzespołów maszyn włókienniczych i normalii. Plan zjednoczenia zakłada dalszy rozwój normalii, wprowadzenie do produkcji wyrobów hakelitowych, wyczuwaczy elektronicznych, przy stopniowym eliminowaniu łańcuchów Galla. Wszystkie wymienione tu wyroby posiadają różną technologię. Praktycznie nie ma żadnych szans na uporządkowanie wytwórni, ani w sensie organizacji pracy, ani w technologii. Przyjęcie tej koncepcji nie tylko nie poprawiłoby chaotycznie zorganizowanego procesu wytwórczego, ale pogłębiłoby ten bałagan. Od lat wytwórnia domagała się nakładów na inwestycje. Bez efektów. W rezultacie w rozmaitych pomieszczeniach panuje taka ciasnota, że tylko kierownictwo zakładu mogłoby wyjaśnić dlaczego inspektor pracy nie zgłosił wniosku o wstrzymanie produkcji.

Tymczasem zjednoczenie „czyszczac" profil innych zakładów rozszerza asortyment produkcji w WCZ. Nie znajduje to żadnego rozsądnego uzasadnienia. Produkcja wyczuwaczy, szaf sterowniczych należy do trudnych. Tymczasem Podgórzyn jest wsią, w której trudno jest znaleźć wykwalifikowanego robotnika. Pozostaje pewna rezerwa kobiet, również bez kwalifikacji. Wychodząc z tego założenia należałoby ograniczać asortyment produkcji, a nie rozszerzać go i skoncentrować się na wyrobach w miarę prostych. Tę właśnie ideę zawarto w zakładowym projekcie planu 5-letniego. Najbardziej przekonywająca jest wersja pierwsza, w myśl której zakład proponuje produkcję tylko sprężyn do podzespołów maszyn włókienniczych i łańcuchów Galla. Technologia tych wyrobów została już opanowana, a poza tym nie wymaga ona zbyt wysokich kwalifikacji. Tym bardziej, że część procesów wytwórczych udało się zmechanizować.

Za tą koncepcją przemawia możliwość dalszego rozwoju organizacji pracy, usprawnienia technologii a co za tym idzie w ten sposób tworzy się szansa wykorzystania istniejących rezerw produkcyjnych. Zapotrzebowanie na łańcuchy jest bardzo duże. WCZ pokrywa tylko 50 proc. zapotrzebowania krajowego. By nie komplikować sytuacji w remontach maszyn rolniczych iesteśmy zmuszeni importować niektóre typy łańcuchów. Eksport, wprawdzie niewielki, WCZ rozpoczęła w 1965 r. Istnieją ogromne możliwości dalszego jego rozwoju. CHZ MOTOIMPORT chciał w zakładzie ulokować zamówienia na łączną wartość 90 mln zł.

Importem łańcuchów zainteresowane są głównie firmy z rynków dolarowych. Wytwórnia nie mając możliwości zwiększenia produkcji odpowiadała odmownie. Podobnie przedstawia się sprawa ze sprężynami. I przed nimi stoją duże szanse eksportowe. Tymczasem Zjednoczenie PMW zamierza ograniczyć produkcję łańcuchów aż do całkowitego jej zaniechania.

Zanewne wchodzą tu w grę inne czynniki. Wyprofilowanie WCZ, zgodne z projektem zakładu, stawiałoby pod znakiem zapytania celowość pozostawiania tego zakładu w ramach Zjednoczenia PMW. Wątpliwość ta nie zrodziła się przypadkowo. Od 1965 r. Zjednoczenie Przemysłu Precyzyjnego zabiega o przejęcie tego zakładu, ponieważ "jest zainteresowane rozwojem produkcji właśnie łańcuchów i sprężyn. Deklarowało się nawet przeznaczyć kilkadziesiąt milionów złotych na jego rozbudowę. Niestety macierzyste zjednoczenie sprzeciwiło się temu. A szkoda. WCZ byłaby dziś w o wiele korzystniejszej sytuacji.

WKŁOPOTLIWEJ sytuacji znalazła się Huta Kryształów JULIA w Szklarskiej Porębie. Kierownictwo huty występowało z koncepcją budowy nowego zakładu albowiem istniejący liczy sobie już 128 lat i z uwagi na to zostanie wyłączony z produkcji w 1972 r. Tymczasem Zjednoczenie Przemysłu Szklarskiego nie przewiduje tego typu inwestycji do 1975 r. Kłócą się tu interesy załogi z zamierzeniami zjednoczenia. Opracowanie więc konstruktywnego planu bez uwzględnienia w nim niezbędnych inwestycji wydaje się być przedsięwzięciem raczej trudnym.

Z przedstawionych przykładów wynika, że nie w każdym przypadku udział zjednoczeń w kształtowaniu projektów planów na lata 1971—75 jest dostateczny. Częste zmiany koncepcji (FUM Chocianów), ich brak (Huta JULIA), czy wreszcie narzucanie wskaźników i rozszerzanie asortymentu produkcji (WCZ Podgórzyn) — nie pokrywają się z duchem uchwały II plenum. Planowanie produkcji odbywa się bez posiadania pełnych informacji o potrzebach rynków krajowego i zagranicznego, o kierunkach rozwoju branży. Plany zakładowe w konkretnych przypadkach są różne od projektów planów zjednoczeń. A przecież nie powinny one występować w tak jaskrawej formie, jak to się dzieje. Odnosi się wrażenie, iż nadal tu i ówdzie spotykamy się z przestarzałymi metodami planowania, a lansowana metoda „od dołu do góry" jest fikcją. Okazuje się, że wiele zakładów przemysłowych napotyka na przeszkody w przejściu na nowe metody konstruowania projektów planów. Że pozostawia się im zbyt mały margines na samodzielność na indywidualne podejście do problemów produkcyjnych.

W torowaniu drogi nowemu, tym mechanizmom trzeba się przeciwstawiać.

Fot. T. Drankowski

Szanowny Panie Redaktorze!

LATO mamy już prawie „z głowy". Spieszę więc wysłać Panu tę pocztówkę, zanim żółte liście na drzewach oznajmią nam przyjście złotej polskiej jesieni, która ma m. in. to do siebie, że bywa bardziej od lata pracowita, a zatem i mniej obfituje w urlopowe pozdrowienia.

Bo urlopy też niemal mamy już za sobą. Zarówno te w bułgarskich Złotych Piaskach, jak i te w Jugosławii, czy wreszcie nasze rodzime nad swojskim Bałtykiem, w Bieszczadach, na rybach mazurskich jezior, czy nad wrocławskim „Morskim Okiem". To ostatnie zresztą z niewielé znaczącego bajorka awansowało nam prawie do rangi międzynarodowego kąpieliska. Zwłaszcza w tym roku, kiedy to w upalne dni szukały w nim ochłody setki międzynarodowych ciał, ramię w ramię z ciałami polskiego pochodzenia. Niektórzy nawet twierdzą, że wody tego kąpieliska mają jakoby walory lecznicze: po kilkudniowej kąpieli kąpieli osobnik, który je przetrzyma nabiera całkowitej odporności na dziesiątki chorób. Powtarzam te opinie ostrożnie, na odpowiedzialność moich informatorów, jako że wiem, że bywa przesady w reklamowaniu cudownych właściwości różnych „badów" i świętych źródeł.

Urlopowaliśmy więc gdzie się dało i jak się dało, polędwicząc, lub oromadnie. Potedynczo np. wyjechał z Wrocławia na ryby pewien nasz wspólny zaiomu artysta-plastyk, oromadnie zaś — zgodnie z tradycją — wrocławskie teatry. Przeciwko tej tradycji od lat wystepuja wprawdzie różni wrocławscy publicyści i podobni im osobnicy, nie przecież nie wskazuje na to, aby na następnych latach dana im okazje do rezygnacji z protestów, gdyż podobno inaczej być nie może. Jest to zdaje się jedna z tych fetalistycznych konieczności, przeciwko której jakikolwiek bunt staje się obiektywnie bezsensowny.

MIELIŚMY sezon wiłopolny, ale nie mieliśmy sezonu opórkowego. Ani dostępnie, ani to przenośni. Opórki tego lata nie obrodziły, bo miały za mało wody. Ale i na dziennikarskie wodę niewiela było miejsca. Po to i nasze „srebrne gody" i fascynujący lot na Księżyc, usunęły wyczyn polskiego ratownictwa górniczego i narodowa akcja walki z pożarami, wreszcie ostatni akord letniego sezonu: festiwal piosenki w Sopocie, który inyszarcza za kilka innych wydarzeń. Słowem było się czym interesować, o czym pisać, rozpisywać. Mieli się, czym się zajmować. Próbował się także przypomnieć doroczny hołdzer sezonu opórkowych, potuży ze szkodliwo łeziora, ale tym razem nie miał on wielkiego sensu i niewielu ludzi na nim zarobiło.

Natomiast z pewnością zauważył Pan, na jaki znakomity pomysł zarabiania upadło małżeństwo znanych publicystów warszawskich Czytał Pan, że publicznie, w prasie małżonkowie ci podjęli z sobą polemikę na temat równouprawnienia płci i inaczej z tym konsekwencji. Ci mają głowy! Temat przecież napokolenia właściwie niewyczerpany, niewiele też rzeczy tak trap

Pomnik dla zasłużonego

Hanna Jarosz-Iałowiecka

Aż by się chciało zacząć: był dżdż i baba... Ona utrzymuje się ze zbierania runo leśnego. Za jagodami idzie aż z Międzygórza pod Bystrzyce, albo i dalej, gdzie słońce bardziej przygrzewa. Bywa, że kilkanaście kilometrów wraca piechotą, bo własne stopy kosztują taniej niż autobusowy bilet. Stara kobieta, a może nawet nie tyle stara, bo nie ma jeszcze sześćdziesiątki, ale tym, co przeszła w życiu, dałoby się sprowiedliwie obdzielić paru ludzi. Może dlatego wygląda starzej. Życie nie nauczyło jej czytania liter, nauczyło ją tylko zahukanej, krzykliwej obronnej postawy — postawy przygotowanego na kopnięcie psa, który już z góry odszczekuje się wszystkim, tujadaniem chce pokryć własny lęk. Nikt w życiu nie dał jej nic za darmo, aż raz jeden ktoś jej jednak coś ofiarował.

Stary człowiek. Przekroczył siedemdziesiątkę. Niejedno w życiu widział. Widział tyle, że był w stanie akceptować tę dziwną kobietę z nieskoordynowanymi reakcjami z pogranicza normalności i upośledzenia. Jej usposobienie i charakter mieściły się w granicach tolerancji, której nauczyło go i jego niełatwe życie. Przyjeżdżał do tej kobiety z pobliskiej Bystrzycy, przebywał u niej tygodniami doglądał kur, sieiał na przyzbie przed domem.

Przed śmiercią, w grudniu ubiegłego roku, stary człowiek będąc już w szpitalu, w obecności przedstawiciela poczty, przekazał kobiecie książeczkę PKO z oszczędnościami swojego życia w sumie 3.165 złotych. Trudno powiedzieć czy to dużo, czy mało, dla niej, przyzwyczajonej do wymierzania złotówek paciorkami Jagód — była to suma zawrotną.

Dwa dni po jego śmierci Zarząd Powiatowy ZBoWiD w Bystrzycy, Kłodzkiej wszedł w posiadanie tych oszczędności, zużywając je na postawienie pomnika za sumę 4.000 zł — pozostałą część oszczędności zatrzymując na swoim koncie.

Nad grobem stanęły dwie racje: starej kobiety, pozbawionej darowizny i ZBoWiD-u. Ten ostatni, nie w przekonywał nawet własne interesy, co pragnął wyprawić okazały pogrzeb — zgodnie z życzeniem starego człowieka wyrażonym jeszcze za życia, że chciałby mieć wojskową orkiestrę i kwiaty, jednym słowem godną oprawę odejścia z tego świata.

ZBoWiD nie był pewny, czy może wziąć te pieniądze, radził się nawet prokuratora, prokurator wydał opinię, że jeżeli nie ma ustawowych spadkobierców, to ZBoWiD może dysponować pozostawioną przez starego człowieka kwotą. Trudno nawet teraz dojść, czy ZBoWiD zażądał zwrotu tych pieniędzy od kobiety. Twierdzą, że kobieta sama je oddała. Ona jednak opowiada o tym, że kazano jej to zrobić, że mówiono o prokuratorze i że przyjechano po te pieniądze taksówką do Międzygórza. Te racje, odmierzając jagody, wykrzyczała ludziom, którym stale, co roku, znosi borówki, grzyby, maliny. To właśnie oni napisali do redakcji, że sprawy związane z pogrzebem starego człowieka naruszyły i poruszyły obowiązujące u nas normy etyczne.

Rozmawiałam w Zarządzie Powiatowym ZBoWiD. Tutaj, teraz ja wysłuchiwałam opinii, wielokrotnie pełnych rozżalenia, że dobra wola i chęć załatwienia sprawy po myśli starego człowieka, stały się dla nich przyczyną kłopotów. Pracują społecznie, pieniędzy starego człowieka, czy jak kto woli, kobiety — nie chcieli dla siebie, chcieli tylko spełnić jego wolę. Podkreślają, że nie zastraszyli kobiety, że ona sama oddała te pieniądze. Mówili to do mnie, w swoim lokalu, w tym samym, w którym i z nią rozmawiano. Rozglądałam się po ciemnej, tonącej w półmroku, ogromnej sali, z krzyżem wielkiego czarnego stołu pośrodku, z wysokimi gotyckimi krzesłami wokół niego i starszymi ludźmi tkwiącymi na tych krzesłach. Myślałam o surowości tego wnętrza i zastanawiałam się, jak w tej scenerii czuła się ta kobieta. Jak odbierała to, co do niej mówiono.

Członkowie ZBoWiD nie powiedzieli mi wtedy, że oprócz pieniędzy starej kobiety, dysponowali jeszcze trzymiesięczną rentą zmarłego, wypłaconą przez ZUS. To dopiero później, w ZUS-ie, znalazłam wykazy rachunków, które pokryto ZBoWiD-owi. Jest tam i rachunek na 1.278 złotych za obiad dla orkiestry, jest i rachunek na 100 złotych — za pamiątkowe zdjęcie nad grobem, jest i rachunek za taksówkę do Międzygórza, i wiele innych, takich jak kopanie dołu, trumna, wieniec itp. Oglądnęłam rachunki, przeczytałam wiele pism ZBoWiD-u do władz miasta i powiatu. W ich świetle wydaje mi się, że warto postawić się nie tylko w pozie refleksji, ale i uogólnień.

NA klepsydrze starego człowieka napisano:

„Dnia 19.XII.1968 r. zmarł po długich i ciężkich cierpieniach, przeżywszy lat 72 kolega PIOTR CHOWAŃSKI rencista z tytułu szczególnych zasług dla PRL, b. uczestnik Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej, członkiem Gwardii Czerwonej, Armii Czerwonej i ludowego Wojska Polskiego, który przeszedł szlak bojowy od Moskwy do Berlina. Odznaczony wysokimi odznaczeniami wojennymi radzieckimi i polskimi. Cześć jego pamięci".

Na klepsydrze napisano o zasługach. O tych samych zasługach, ZBoWiD pisał jednak wielokrotnie do władz miasta i powiatu, starając się załatwić dla Piotra Chowańskiego przydział mieszkania, a potem, znużony odpowiedziami negatywnymi, dom rencisty. Piotr Chowański był lat 72. Nie doczekał domu rencisty, nie doczekał przyzwoitego mieszkania. Doczekał reprezentacyjnego pogrzebu, urządzonego staraniem ZBoWiD-u — swoich przyjaciół i kolegów, ale ten pogrzeb finansował prawie, że on sam. Spacerał w dni zasłużonych cmentarza komunalnego, ale za miejsce na tym cmentarzu zapłacił z jego renty ZUS, za trumnę ZUS, za nagrobek stara kobieta, za pośrednictwem ZBoWiD-u lub vice versa. I tu właśnie kończą się refleksje, a zaczynają uogólnienia.

Mamy coraz więcej ludzi starych. Ludzi, którzy zasłużyli się dla dnia dzisiejszego, zasłużyli dla Polski, ale są coraz starsi i umierają. Ten proces można odwlekać, nie można mu jednak przeciwdziałać. Na klepsydrach piszemy o ich zasługach. Ale jeżeli oni nie mieliby pieniędzy, to kto postawi im nagrobek? ZBoWiD nie ma na ten cel pieniędzy. ZBoWiD nie dysponuje kredytami na urządzanie pogrzebów. To jest dobra wola ZBoWiD-u, że w wypadku, jeżeli umiera ich członek, który nie pozostawia rodziny, zajmują się organizowaniem pogrzebu, towarzyszą mu na tej ostatniej drodze. Natomiast smutnym jest, że miasto w którym był, dzielał i umarł taki człowiek, nie czuje się zobowiązane, ani do roztoczenia nad nim opieki w czasie życia, ani do partycypowania w kosztach pogrzebu. Miasto funduje sobie aleję zasłużonych, ale zasłużony, na sam piędzi ze miejsce w tej alei? — Za swój pogrzeb, za nagrobek? — Wydrukować słowa na klepsydrze jest bardzo łatwo, tym bardziej, że ich koszt też — bywa obciąża konto zmarłego.

Uczymy dzieci, uczymy młodzież płetymu do naszej historii. ZBoWiD organizuje całą sieć spotkań, w czasie których uczestnicy walk opowiadają o naszej martyrologii, o bohaterstwie — wielokrotnie bezimiennym — a wielokrotnie umiejętnościach w człowieku, który o tym opowiada. Uczą dzieci wiary i historii, mówią o odpowiedzialności, braterstwie, solidarności. A potem jest pogrzeb...

Czy znajdzie się ktoś, kto z całą pewnością mógłby stwierdzić, że na przykład Piotrowi Chowańskiemu chodziło o taki pogrzeb, że o takim pomniku marzył? — A może on chciał w pamięci tej starej, dziwnej kobiety, która na stare lata wspomogł swoimi oszczędnościami, może chciał tym gestem wybudować sobie życiowe wspomnienie — najtrwalszy pomnik, na jaki człowieka stać? — O tym innym, kamiennym pomniku, o miejscu na cmentarzu, o orkiestrze, może myślał, ale być może sądził, że skoro jest taki zasłużony, to otrzyma je od miasta, od innych organizacji?

2 IX rozległ się znowu dzwonek szkolny. Ponad 7,5-mln reszę uczniów, która w tym roku zasiadła w ławkach, czeka wiele miesięcy wytężonej nauki. Oby dla wszystkich z pomyślnym rezultatem. Na razie najmilszą atrakcją są nowe podręczniki.

„Zwracam się z prośbą o skreślenie i załarcie w mojej karcie kwalifikacyjnej kar sprzed lat, które dawno już powinny być z niej usunięte na podstawie obowiązującego od 1959 roku zarządzenia ministra handlu".

W tydzień później p. Alina na swoją prośbę otrzymała odpowiedź: „Prośbie, Obywatelki musimy odmówić, gdyż wspomniane przepisy nie obowiązują przedsiębiorstwa „WARS".

„— Dziwne i przykre". — pomyślała p. O. przyszła do redakcji prosić o wyjaśnienie i pomoc.

— Dziwne, — powtórzyliśmy w dyrekcji wrocławskiego „WARS-u" — was, przedsiębiorstwo „par excellence" gastronomiczno-handlowe, nie obowiązują zasady ustalone przez ministra tegoż handlu?

— Nie, bo my podlegamy pod swojego pana ministra.

II

To fakt. „WARS", niektóre placówki gastronomiczne na dworcach kolejowych, stanowią w sieci handlu kraju „enklawę" Ministerstwa Komunikacji. Nie mamy tu zamiaru kruszyć kopii o sens czy też osobliwość takiej „enklawy", zastanawiać się po co resortowi elektrowozów i semaforów, kłopot z jadłospisami, grochówką i ekspresem do kawy... Widoczne były argumenty uzasadniające tę podległość budżetową i organizacyjną fragmentu gastronomii resortowi komunikacji, aczkolwiek znowu osobliwy tu jest fakt, że dotyczy to tylko niektórych dworców, rzekłbym handlowo atrakcyjnych, jak np. Wrocław, Kłodzko czy Opole, podczas gdy gastronomia „przeciętnie" kolejowa — w Ząbkowicach, Wołowie, czy Bolesławcu — nadal prowadzona jest przez przedsiębiorstwa handlu wewnętrznego.

ZAKOŃCZMY te dywagacje i wróćmy do sprawy p. Aliny O. Bez względu na szyld — państwowy, spółdzielczy, tego czy innego ministerstwa, prywatny — każda działalność handlowa i gastronomiczna pod względem specyfiki fachowej, kształtowana jest i nadzorowana jest przez normy fachowe resortu handlu. Wątpliwości, czy w tych zagadnieniach mieści się sprawa zapisów i skreśleń w kartach kwalifikacyjnych, usuwa fakt następujący:

KARTY KWALIFIKACYJNE zostały wprowadzone zarządzeniem ministra handlu i stosuje się je wyłącznie w handlu i gastronomii. Nie prowadzi się ich dla żadnego innego zawodu w resorcie komunikacji. Dlaczego więc „WARS", przyjmując (i słusznie) z norm Ministerstwa Handlu zasadę prowadzenia kart kwalifikacyjnych, odżegnuje się niesłusznie od respektowania związanych integralnie z funkcją tych kart dalszych przepisów twórcy normy?

● Czy chodzi o to, że „WARS" ma swojego pana ministra?

● Czy może o to, że „WARS" ma swój własny punkt widzenia na zasadę wybaczania przewinień?

Pani Alina O. być może ugięłaby się przed tym tak indywidualnym punktem widzenia „WARS-u" i zdecydowała rozpocząć nową pracę z niesłusznie obciążoną „hipoteką". Zbieg okoliczności sprawił jednak, że ową autorytatywną odmowę skorzystania przez pracownika z dobrodziejstwa przyznanego jego zawodowi, otrzymała w przededzień Lipcowego Święta, że ogłoszono w tym okresie amnestię nie za takie przewiny, i że w ślad za tym minister handlu wydał zarządzenie nr 61, amnestię dla pracowników handlu i gastronomii, stanowiące zatarcie kar porządkowych, upomnień, nagan i ostrzeżeń nałożonych do lipca 1969 roku.

Powstrzymała się więc z wypowiedzeniem [illegible] chwilę sądząc, że ten przepis ostatecznie oczyści jej konto.

NIESTETY — w „WARS-ie" o realizacji amnestii dla handlowców — było głucho i cicho. Nie wiedziano, lub wiedzieć nie chciano o wszelkich decyzjach władz resortowych i związkowych, o wywiadzie, o tym że w gastronomii miejskiej, PSS-owskiej, nawet GS-owskiej — pracownicy żyją tym radosnym wydarzeniem.

Dopiero w niedzielę 24 sierpnia b. zespół pracowników kadr, przystąpił do zatarcia kar porządkowych po otrzymaniu zarządzenia „swojego" ministra, o podobnej amnestii resortowej dla pracowników komunikacji.

Podobna — nie znaczy taka sama. I jest to zrozumiałe, gdyż inna jest specyfika zawodowa, inna miara wykroczeń służbowych kucharki czy kelnerki, a inna — maszynisty, czy zwrotniczego. Pracownicy dworcowej gastronomii na tym wyborze normy

Panorama polityczna NRF (IV)

FDP, czyli „obcinanie starych warkoczy"

Julian Bartosz

LIBERAŁOWIE! Ten zawsze w dziejach niemieckich enigmatyczny i wieloznaczny zwrot nabrał w ostatnich trzech latach w interpretacji FDP nowego znaczenia. Można nawet powiedzieć, że za „ojcem współczesnego liberalizmu zachodnioniemieckiego w postaci Partii Wolnych Demokratów kryją się całkiem realne, rozsądne i pozytywne treści. Współczesna FDP nie wydaje się już ową przysłowiową „wańka-wstańka", jaką się jawiła za czasów pięknego Ericha Mendego. FDP nie jest także jedynie „języczkiem u wargi", zdolnym przychylić szalę na korzyść tej czy tamtej strony. FDP, która w latach tzw. współrządów u boku Adenauera i Erchardа skazała siebie na śmieszność, stały upadek prestiżu i rolę epigona — z chwilą wyjścia z gabinetu i przejścia do ław opozycyjnych przeszła dość zasadniczy proces odnowy.

Większość 49-osobowej frakcji FDP w Bundestagu V kadencji należy wprawdzie do starego garnituru liberałów, niemniej coraz większą rolę odgrywa w ostatnich latach grupa takich ludzi, jak obecny przewodniczący partii Walter Scheel, przewodniczący frakcji Wolfgang Mischnik, czy czołowy działacz kierownictwa deputowany Wolfgang Schollwer. Znaczną rolę w partii odgrywają ludzie polityczni Hansa Wolfganga Rubina, którzy od wielu lat znani byli ze swoich realistycznych poglądów politycznych, nie zgadzali się z postawą dawnego kierownictwa partii i domagali się zwrotu w programie taktycznej polityki FDP.

Ważną próbą sił między FDP-owcami starej szkoły i energicznymi, realistycznie myślącymi działaczami były wybory prezydenta federalnego w Berlinie zachodnim w dniu 5 marca br. To, co się stało w wielkiej hali, w której obradowało Zgromadzenie Federalne — stanowiło chyba najbardziej reprezentatywny przykład istotnych przemian w partii. To właśnie FDP zadecydowała o wyborze Heinemanna na stanowisko prezydenta federalnego. Elektorzy FDP głosowali za nim wspólnie. Fakt to wręcz znamienny. Liberałowie nigdy bowiem nie znali i nie uznawali dyscypliny frakcyjnej. Porzucenie tej tradycyjnej postawy świadczy o dokonaniu się pewnego procesu w partii. Co po starych, dziewiętnastowiecznych hasłach, skoro żyjemy w drugiej połowie XX wieku i musimy się liczyć z wymogami czasu? — Tak tę rzecz tłumaczyli mi przewodniczący frakcji Wolfgang Mischnik. Chodzi nam o pewne zmiany w polityce. Można to osiągnąć tylko wówczas, jeśli zdecydowanie będziemy się o nie dobijać.

O przeszło dwóch lat FDP usiłuje to robić. FDP to wprawdzie opozycja mała, ale — w ramach parlamentarzyzmu zachodnioniemieckiego — opozycja rzeczywista. Na plakatach i wydawnictwach wyborczych partii widnieje zdjęcie pumy chrapiężnie rozwierającej swą paszczę. Kpią co prawda chadecy, że to puma papierowa, ale nie sądzę, aby się także śmieli z żądań i postulatów programu FDP. Rzecz jest bowiem poważna: FDP jest partią burżuazyjną i jej klientela wyborcza należy do tego samego obozu społecznego, co wyborcy chadecy. Z drugiej strony można powiedzieć, że zachodza na siebie także zakrzewy wpływów politycznych FDP i SPD. To zjawisko ma wszak swą przyczynę w praktyce politycznej, a nie — jak w wypadku FDP-CDU — w sferze ideologii, tradycji historycznej czy przynależności klasowej.

Sztandarowe hasło FDP-owskiej kampanii wyborczej brzmi nieco dziwnie: „Wir schaffen die alten Zoepfe ab". Likwidujemy stare warkocze. To dość symptomatyczne określenie. Chodzi nie o zmianę wszystkich końskiewiencjami istniejące drugiego — komunistycznego państwa na terytorium niemieckim...?

WPODOBNYM DUCHU ocenia się cały tzw. dorobek NRF w ostatnich 20 latach. Wyciągając wnioski z takiej analizy platforma wyborcza FDP („Praktyczna polityka dla Niemiec") formułuje w IV części („Niemiecka polityka na rzecz europejskiego porządku pokojowego") następujące postulaty:

● **Rezygnacja z doktryny Hallsteina, nawiązanie stosunków z NRD i zawarcie układu państwowego między obu państwami niemieckimi.**

● **Przystąpienie do układu o nieproliferacji i udział w staraniach o prawdziwy system bezpieczeństwa w Europie między innymi przez zwołanie europejskiej konferencji na temat bezpieczeństwa a udział tem wszystkich zainteresowanych. NRF winna także należeć do ONZ i nie sprzeciwiać się wejściu NRD do Organizacji NZ.**

● **W dążeniu do europejskiego porządku pokojowego NRF musi ponieść pewne konkretne koszty. FDP przeto stwierdza: „Powstanie takiego porządku pokojowego nie może być unicestwione przez żądania terytorialne". (W projekcie dokumentu z kwietnia br. było jeszcze zdanie: „NRF nie podniesie żadnych roszczeń terytorialnych").**

TE punkty programowe wskazywałyby, że FDP byłaby w stanie zawrzeć sojusz polityczny z socjaldemokracją. Są jednak między FDP i SPD dość poważne różnice. Powstały one na tle trzw. Mitbestimmung, której FDP jest przeciwnikiem, przynajmniej w takim sensie, w jakim podnosi się tę sprawę przez związki zawodowe, SPD i — poniekąd nawet przez DGB. Na tle sprawy współdecydowania objawia się właśnie kapitalistyczny charakter FDP, która reprezentując określone grupy małego i średniego kapitału bardziej od wielkich monopoli i koncernów, obawia się udziału robotników w decyzjach odnoszących się do fabryk i zakładów. Stosunek do Mitbestimmung, stosunek wobec wielu innych spraw wewnętrznych zbliżałby z kolei FDP do chadecji. Jeśli przy tym uwzględnimy, że punkt ciężkości zainteresowań politycznych, poważnych grup wyborców NRF jakby przesunął się z problematyki międzynarodowej i ogólniejszej (w tym i stosunek do NRD) na korzyść spraw wewnętrznych, gospodarczych, socjalnych (tutaj mieści się stosunek do NRD) — wówczas okaże się, że wcale nie jest tak łatwo określić stopnia trudności względnie łatwości zawarcia koalicji z tą czy tamtą partią. Na ten właśnie temat — z kim pójdzie ewentualnie po 28 września — FDP wypowiedziała się dotąd enigmatycznie i mglisście. Z wypowiedzi np. Scheela można wnioskować, że **chętniej** partia poszłaby z SPD. Ale to „chętniej" wcale nie wyklucza drugiej ewentualności. Po prostu FDP uzależnia swoją przyszłą postawę od wyników wyborów i — jak się dodaje — od pakietu spraw negocjacji koalicyjnych. To jednak jest tylko wybiegiem — jak się zdaje — przynajmniej w ogólnym zarysie wiadomo, co poszczególne partie w swoich programach reprezentują.

Dla FDP jedna rzecz zdaje się mieć zasadnicze znaczenie: nawet gdyby to jej odpowiadało — nie stać ją na pozostanie w ławach opozycyjnych. Będzie to dla niej jeszcze gorsze, niż pozorna egzystencja u boku chadecji. Wydaje się bowiem bardzo prawdopodobne, że odnowienie wielkiej koalicji po 28 września może doprowadzić do reformy prawa wyborczego, w wyniku którego powstanie system wyborczy faworyzujący dwie wielkie partie i eliminujący małe partie. Pozostałoby zatem alternatywne pytanie: czy z chadecją czy z socjaldemokracją? Pytanie to jest, nawet ważniejsze, czy FDP — która w ostatnich wyborach w 1965 roku uzyskała mniej, niż 10 proc. — wzmocni swój stan posiadania, w co mocno wierzy. Sympatie polityczne wskazywałyby na sojusz z SPD — twarde realia polityczne, do których zaliczyć trzeba i pozycję obu wielkich partii po 28 września — mogą rzucić tę partię w ramiona chadecji. I w ten sposób obetnie ona sobie swój własny nowy warkocz...

Czy będą wnioski z wietnamskiej lekcji?

Jan Kawa

OD czasu deeskalacyjnych zapowiedzi Johnsona z wiosny ubiegłego roku, w amerykańskiej prasie, wśród naukowców i kongresmenów zaczęto dyskutować nad „Ameryką powietnamską". Dyskusja otrzymała nowe bodźce na przełomie 1968—1969 roku w postaci zwycięstwa Nixona w wyborach prezydenckich, kolejowych posunięć administracji Johnsona i przełomu w rozmowach paryskich jakiego dokonało zaproszenie do stołu konferencyjnego pozostałych dwóch stron konfliktu: Frontu Wyzwolenia Narodowego i władz sajgońskich, czy wreszcie, ostatnio — w wyniku zgłoszenia dziesięcio- i ośmiopunktowego programów rozwiązania konfliktu, zapowiedzi wycofania nieznacznego co prawda kontyngentu wojsk amerykańskich oraz utworzenia przez siły wyzwoleńcze Tymczasowego Rządu Rewolucyjnego. Sprawiły one, że na falach antywojennych protestów i bogato udokumentowanych wystąpień ujawniających całą beznadziejność kontynuowania agresji, jej fatalne dla życia wewnętrznego USA i pozycji tego państwa w świecie skutki, wyrosła pokaźna już gałąź różnego rodzaju publikacji zajmujących się stagłębokiego zaangażowania się w nich oparte o badania i obserwacje odpowiedzi na pytania: co przyniesie Stanom Zjednoczonym zakończenie wojny, jaki wpływ będzie to miało na gospodarkę, czy fakt ten otworzy możliwości uregulowania wielu nabrzmiałych problemów socjalnych, jaki będzie jego wpływ na psychikę społeczeństwa i na czym wtedy skoncentruje się polityka zagraniczna rządu.

Pytań wiele. Już sam ich zakres świadczy o tym, w jak wielu dziedzinach oczekuje się zmian, a to dowodzi sięgającego daleko i głęboko zaangażowania się w wojnę oraz poważnych przeobrażeń, jakie w wyniku tego nastąpiły.

Jakie następstwa rozpętania, a następnie eskalacji wojny wietnamskiej dostrzegają Amerykanie w swoim kraju. Wiele piszą o problemach ekonomicznych, zwłaszcza o inflacji, która trwa bez przerwy od 3 lat. Agresja w Wietnamie pochłania rocznie około 30 mld dolarów. Za taką sumę — jak twierdzą przeciwnicy wojny — można by w całości lub częściowo rozwiązać problemy pomocy społecznej i opieki zdrowotnej, zrealizować program oczyszczania powietrza w wielkich miastach i zaopatrzenia ich mieszkańców w wodę pitną, można byłoby przyśpieszyć budownictwo mieszkaniowe, a wraz z nim zlikwidować „amerykańską hańbę" — slumsy.

Obok rozwoju zakładów przemysłowych w murzyńskich gettach przyniesie by to mogło zmniejszenie napięć na tle rasowym. Prostą zależność między amerykańską obecnością w Wietnamie, a brakiem funduszy na cele socjalne nie wszyscy w USA chcą dostrzec, ale głosy tych, którzy to zauważają są coraz głośniejsze, jest ich znacznie więcej niż dwa lata, czy nawet rok temu. Są to głosy krytyczne, skierowane przeciw ludziom, którzy z wojny czerpią zyski, zarówno materialne, jak i w postaci wzrostu prestiżu, znaczenia, wpływu na podejmowanie decyzji politycznych. Skierowane są zatem głównie pod adresem tzw. kompleksu wojskowo-przemysłowego, tego fenomenu we współczesnych Stanach Zjednoczonych.

MILITARYZACJA USA datuje się wprawdzie od zakończenia II wojny światowej. Wojna koreańska, „zimna wojna", dążenie za wszelką cenę do zachowania przewagi militarnej, aby można przemawiać z pozycji siły, stosować politycznyż szantaż sprawiły, że mackom kół wojskowych wyrastały wciąż nowe odgałęzienia. Ale dopiero wojna wietnamska dała możność sfinalizowania furji kół militarnych, przemysłu i niektórych kół politycznych oraz wywindowała „kompleks" do dominującej roli w życiu społecznym USA.

Podstawą działania „kompleksu" jest coraz bardziej rozdęty budżet „militarny", którego wielkość uległa podwojeniu od 1960 roku. Obecnie Pentagon, a więc centrum kompleksu wojskowo-przemysłowego dysponuje rocznie sumą prawie 80 mld dolarów. Żadna z innych dziedzin życia w Stanach Zjednoczonych nie dysponuje takimi kwotami. Np. na budownictwo mieszkaniowe Amerykanie wydają rocznie 22,4 mld dolarów, a wartość produkcji przemysłu samochodowego osiągnęła w zeszłym roku 23,5 mld dolarów. Budżety federalne przeznaczone na oświatę, zdrowie, pomoc społeczną, czy walkę z katastrofami naturalnymi są niewielkimi ułamkami tego, czym „obraca" Pentagon. Zasadniczym efektem takiej struktury wydatków i faktu, że Pentagon kontroluje gospodarkę największymi funduszami rządowymi jest to, że coraz więcej amerykańskich obywateli i coraz więcej zakładów przemysłowych wpada w zależność finansową od kół wojskowych.

Wyobraźmy sobie zatem, że w trudnym obecnie do określenia terminie rokowania paryskie osiągną pozytywny rezultat. Dla większości Amerykanów oznacza to powrót wojsk do domu, a więc zaprzestanie działań wojennych. Co stanie się wtedy z owymi 30 mld dolarów? Doradca gospodarczy Humphrey'a — prof. George Perry z uniwersytetu Minnesota ma takie o tym zdanie. Koszt wojny jest równy 22 mld dolarów rocznie, ponieważ i tak trzeba byłoby wypłacać armii żołd. Należałoby więc sądzić, że w każdym razie na zaspokojenie różnych potrzeb społecznych i obniżenie podatków można będzie poświęcić 22 mld. Otóż nie — mówi prof. Perry, a wraz z nim większość ekonomistów. Wydatki na żołd ulegną w ciągu najbliższych lat dalszemu zwiększeniu, zapasy wojskowe będą musiały powrócić do wysokiego poziomu z czasów pokoju, od dawna pozostaje też w tyle za planem budowa koszar, a administracji Nixona trudno będzie oprzeć się pokusie wielkich wydatków na szeroki wachlarz kosztownych urządzeń wojskowych, np. w rodzaju pocisków antyrakietowych.

Zakończenie wojny nie zwolni zatem wiele ponad 10 mld dolarów na realizację programów społecznych — a i ta suma może poważnie stopnieć, jeżeli Kongres postanowi rozdzielić ją pomiędzy departamenty, które zmuszone były wskutek wojny do oszczędności.

Sztab ekspertów ze specjalistycznego czasopisma „The Magazine of Wall Street" opublikował niedawno obszerne, liczące ponad 130 stron studium pt. „Przewodnik dla inwestorów — prognozy gospodarcze". Czytamy w nim, że likwidacja wydatków na wojnę wietnamską zostanie w ogromnej mierze zrównoważona przez wzrost wydatków na rozbudowę nowych systemów broni i uzupełniania rezerw. Wojna odciągnęła ludzi i sprzęt z amerykańskich baz w różnych częściach świata. Po jej zakończeniu trzeba będzie pokryć niedobory istniejące w tych bazach. „W szczególności — piszą autorzy — trzeba będzie wzmocnić NATO". Przechodząc dalej do wpływu, jaki zakończenie wojny wywrze na poszczególne gałęzie gospodarki, eksperci wysuwają następujące wnioski: przemysły lotniczy i aluminiowy oraz towarzystwa kolejowe, transportowe i okrętowe odczują stosunkowo najboleśniej spadek obrotów. Jednakże potrafią one szybko nadrobić straty. Nastąpi poprawa w amerykańskim bilansie handlowym i płatniczym oraz zahamowana zostanie przynajmniej na jakiś czas ostra inflacja — czyli zmiany, o które bezskutecznie zabiega od kilku lat waszyngtońska administracja.

Z powyższych przewidywań można już wyciągnąć dwa wnioski. Po pierwsze, gospodarka amerykańska dość łatwo potrafi przestawić się na „powietnamskie tory". Po drugie zaś, rozpocznie się ostra walka o przeznaczenie zwolnionych funduszów. Łatwo zorientować się, że kompleks wojskowo-przemysłowy, obrosły w siłę, dolary i wpływy, lekka ręką nie zrezygnuje z miliardowych zamówień.

Wiele w tej sprawie wyjaśnić powinny wystąpienia senatora Richarda Russela z marca br. i ministra obrony Melvina Lairda sprzed dwóch miesięcy. Russel — przewodniczący senackiej komisji d/s wydatków rządowych oświadczył, że unowocześnienie amerykańskiego arsenału wojskowego musi mieć pierwszeństwo nad programami walki z ubóstwem, jeśli dojdzie do wykorzystania jakichkolwiek funduszów uzyskanych dzięki zakończeniu wojny w Wietnamie. Skrytykował on tych, którzy mają nadzieję, że zakończenie wojny umożliwi przeznaczenie poniesionych na ten cel wydatków, na programy poprawy sytuacji w wielkich miastach, na oświatę, szkolenie zawodowe i inne podobne posunięcia stwierdzając, iż „nie widzi korzyści w takim kursie politycznym".

Russel nie wyciąga z tego żadnych wniosków. Podobnie i Laird, który stwierdził: „Powinno to być całkowicie jasne. Bezpieczeństwo narodowe w dzisiejszym świecie i drastycznie zredukowany budżet obronny nie idą ze sobą w parze. Jeśli uda się nam położyć kres wojnie w Wietnamie, to nadal nie będziemy mogli przedstawić zmniejszonego budżetu obronnego".

Te dwie wypowiedzi mogą wystarczyć dla wyobrażenia sobie w jakim kierunku podąża USA po wycofaniu z wietnamskiej opresji. Należy wątpić, czy będzie to dla polityków, zwłaszcza spod znaku jastrzębia, wystarczająca do wyciągnięcia wniosków lekcja. Zainteresowania przeniesione z południowo-wschodniej Azji na subkontynent południowo-amerykański, lub Europę wróżą raczej zaostrzenie kursu wobec państw latynoskich wychodzących spod „opiekuńczych" skrzydeł Waszyngtonu, zaś gdy chodzi o nasz kontynent — wzmocnienie NATO. Pozostaje jeszcze nadzieja, że opozycja, która powstała na gruncie protestu przeciw wietnamskiej agresji i wszedobyskiemu kompleksowi wojskowo-przemysłowemu, zdobędzie taką siłę, by mogła wpłynąć na kierunek przyszłej polityki wewnętrznej i zagranicznej Stanów Zjednoczonych.

Wietnam południowy. Zacięte walki trwają nadal. Zaskakujące ataki oddziałów sił narodowowyzwoleńczych z dnia na dzień powiększają straty ponoszone przez wojska interwencyjne. Według oficjalnych danych, liczba zabitych wynosi obecnie ponad 36.000 żołnierzy amerykańskich. Na zdjęciu: Ewakuacja rannych „marines". CAF — Photofax

Ułańskie drogi

„O godzinie 15 generał Sikorski dokonał przeglądu polskiej kompanii zbiorczej, zebranej i przygotowanej do przejścia przez pomocnika Rozyckiego. Rozmawiał z każdym oficerem, podoficerem, strzelcem... Potem okrzyki żołnierzy „Czołem panie generale" i „Niech żyje generał Sikorski" — oto fragment reportażu Janusza Szyszka o oficerze, który przybył na Gibraltarze generała Sikorskiego przed jego fatalnym lotem, dziś profesorze Politechniki Wrocławskiej, Ryszardzie Rożyckim. Reportaż ten, zatytułowany „Ułańskie drogi", znajdą czytelnicy w najnowszym, wrześniowym numerze „Odry", obok niezwykle interesującego faktomontażu Wiesława Wodeckiego pt. „Dzień kiski", będącego próbą zrekonstruowania przebiegu dnia 6 września 1939 roku, przełomowego dnia tragicznej kampanii. O tygodniach poprzedzających wybuch wojny pisze Janusz Matuszyński, a Edmund Mecjewski w szkicu „Piórem i mieczem" wspomina mało znany, a niezmiernie interesujący nurt polskiego ruchu oporu: podziemny wyższy kurs dziennikarsk specjalizujący się w problematyce ziem zachodnich, tzw. wówczas ziem postulowanych. Jak „Odra" przynosi również szkice literackie m in. amerykańskiego krytyka Granville'a Hicksa „Wczorajsze powieści", Mieczysława Orskiego „Ocalenie Arkadii" (o najmłodszej prozie polskiej), Urszuli Koziół „Niepokój otoczenia" (o poezji współczesnej), a także wiersze, opowiadania, recenzje, felietony i stałe rubryki. Już w kioskach!

30-lecie głośnej dywersji (II)

Polowanie na ludzi

Józef Kołodziejczyk (Kolicz)

Poczawszy od wkroczenia Wehrmachtu do Bydgoszczy w dniu 5 września 1939 r. rozpoczęła się eksterminacja ludności polskiej. Skrupulatny fotograf niemiecki zanotował datę na filmie.

PRZELOMOWE znaczenie dla sytuacji w Bydgoszczy miały decyzje, które zapadły w nocy z 3 na 4 września 39 r. Wydawało się wówczas, że dywersja hitlerowska została opanowana. Patrole wojskowe ujęły ponad 800 dywersantów, których internowano w koszarach. Na głównej komendzie policji osadzono ok. 600 rebeliantów. To bardzo osłabiło akcję piątej kolumny. Tylko gdzieniegdzie jeszcze rozlegała się pukanina z pistoletów maszynowych i szybko milkła.

Sytuacja na froncie wewnętrznym była więc korzystna. Ale front wojny zbliżał się do Bydgoszczy w szybkim tempie. Decyzją dowództwa wojskowego ewakuowała się komenda miasta. Pozostały tylko posterunki saperskie przy mostach. Aresztowanych dywersantów zwolniono, gdyż władze wojskowe bez sądu nie chciały ich karać.

Pod przewodnictwem starosty Suskiego odbyła się o godz. 22.30 ostatnia odprawa władz cywilnych w starostwie. Zapadła decyzja natychmiastowej ewakuacji resztek władz porządkowych: policji, straży pożarnych, komendy opl i in. Także dywersanci, osadzeni w gmachu policji, zostali rozpuszczeni do domów.

Tak więc rano 4 września miasto pozostało bez jakiejkolwiek władzy, zdana już armii zaborczej, która jednak bezbronnej Bydgoszczy nie kwapiła się zająć, gdyż miała inne plany operacyjne. Nie było ani czasu, ani sposobu, by powiadomić ludność o decyzji opuszczenia miasta, podyktowanej zapewne oceną sytuacji wojennej. W każdym razie ludność, zebrana na dwóch kolejnych wiecach, dała wyraz swemu wzburzeniu. Grono działaczy społecznych postanowiło utworzyć zastępczą władzę i tak powstała Straż Obywatelska z 10-osobowym zarządem na czele. (Wchodziłem w jego skład).

Ochotników nie brakowało. Broń było w koszarach pod dostatkiem. Dziesiątka po dziesiątce drużyny z biało-czerwonymi opaskami ruszały z ratusza na miasto, by uspokajać dywersantów, którzy skorzystali z wielkoduszności naszych władz i znowu zajęli swoje ukryte stanowiska. Sprowadzano ich do ratusza, gdzie stawali przed komisją śledczą, która w wypadku stwierdzenia bezsprornej winy przekazywała zresztowanych placówce wojskowej na przedmieściu kujawskim, lecz takie wypadki były rzadkie – przeważnie ograniczano się do pouczenia i ostrzeżenia.

Zapał społeczeństwa bydgoskiego sprawił, że już w południe Straż Obywatelska liczyła setki ludzi. Byli oni gotowi podjąć nawet walkę z regularną armią. Starsi, doświadczeni obywatele, kierujący Strażą, nie o walce myśleli, lecz o zaprowadzeniu w mieście ładu i porządku. Wiedzieć, że trzeba będzie skapitulować, chcieli, by odbyło się to w parlamentarnych warunkach. Uspokajali więc porywczą młodzież.

Po południu tego dnia nastąpił też spokój. Otwarto niektóre sklepy, by ludność mogła się zaopatrzyć. A z zaopatrzeniem w żywność były kłopoty już od kilku dni. Ludzie mieli pieniądze, odyć większość pracowników wypłacita pobory, ale nie było drobnych pieniędzy, co zupełnie paraliżowało obroty handlowe. Przypomniało mi się o tym, gdy jedna z drużyn Straży Obywatelskiej zameldowała, że w sklepie bogatego kupca niemieckiego znaleziono duże skrzynie. Otworzono je w przekonaniu, że zawierają broń lub amunicję. Zawierały olbrzymie ilości bilonu. Dywersja miała się miejsce także na polu gospodarczym.

WE wtorek 5 września od rana oddziały Wehrmachtu zaczęły zajmować Bydgoszcz, a czynny to powoli, ostrożnie, ulica po ulicy. W zarządzie miejskim przedstawiciele Straży Obywatelskiej podpisali formalny akt kapitulacji miasta, który zapewniał nietykalność obywateli. Major niemiecki, który akt przyjmował, był bardzo uprzejmy i mówił po polsku. Na tym skończyły się wszelkie uprzejmości.

Trzej starsi ludzie, którzy wierzyli w dobre wojenne obyczaje, zostali wkrótce potem aresztowani i zginęli w lochach gestapo. Byli to: wiceprezydent miasta dr. Nowrowski, ks. kan. Szulc i red. Fiedler.

Nastał okres odwetu za walkę z dywersją, okres, który można nazwać polowaniem na ludzi, a który sami hitlerowcy nazwali akcją bezpośrednią (Direkte Aktion). Zabijano ludzi bez wyroku. Trwało to do połowy listopada 39 r. W tym okresie zastrzelono ponad 10 tys. Polaków. Dalsze 26 tys. zginęło na podstawie wyroków sądu, Sondergerichtu,, oraz w obozach koncentracyjnych, więzieniach i na robotach przymusowych.

Jakie było współdziałanie dywersantów z armią hitlerowską, a w jakim stopniu rebelia bydgoska była pomysłem samych volksdeutschów – trudno dziś stwierdzić w sposób ścisły. W każdym razie Wehrmacht po wkroczeniu do Bydgoszczy całkowicie współdziałał z miejscowymi elementami hitlerowskimi i w akcji odwetowej zabrał krwawe żniwo. Głównym winowajcą tego zaangażowania Wehrmachtu do zwyczajnego mordowania bezbronnych ludzi był dowódca armii „Notec" („Netze"), gen. Bieemmer. Po wojnie nasze władze starały się o wydanie go polskim sądom, lecz bezskutecznie.

Zeznania świadków i dokumenty (hitlerowcy bardzo lubili fotografować swe zbrodnicze wyczyny) mówią o tym, że natychmiast po wkroczeniu do miasta żołnierze Wehrmachtu rozstrzeliwali Polaków, wskazanych przez volksdeutschów, często na podwórkach domów – na oczach najbliższych.

W następnych dniach września Bydgoszcz została zamieniona w jeden wielki obóz koncentracyjny. Aresztowanymi Polakami zapełniono piwnice różnych gmachów publicznych, a najwięcej, bo kilka tysięcy, ulokowano w 5 koszarach 62 pułku piechoty i 15 pułku artylerii lekkiej. Najpowszechniejszych, jak ich określano, „zakładników" uwięziono w piwnicach gestapo na Bielawkach, m. in. b. prezydenta miasta Barciszewskiego, b radców miejskich, wielu księży i działaczy społecznych i tę grupę więźniów nazywano „Obermaenner" i poddawano ich najwyszukańszym torturom. Zresztą aresztowania i przesłuchania wszystkich więźniów odbywały się wśród bicia, wrzasków i niesłychanych szykan.

W sobotę 9 września przeprowadzona została pierwsza publiczna egzekucja zakładników na Starym Rynku, nazajutrz z jeszcze większym rozmachem – następna. Miały one posiać grozę i postrach wśród społeczeństwa polskiego. W następnych dniach publiczne egzekucje i łapanki zademonstrowano także na przedmieściach.

Jak się to odbywało, jakie tragedie przeżywały polskie rodziny, niech posłuży za przykład relacja Stanisława Tomaszewskiego, urzędnika kolejowego, zam. przy ul. Średniej 32.

„WPONIEDZIAŁEK 11 września nasze przedmieście, Jachcice, było widownią scen, mrożących krew w żyłach. Gestapo gdańskie przy pomocy wojska obsadziło wszystkie ulice wiadzowe. Gestapowcy, prowadzeni przez miejscowych volksdeutschów, niej. Butza i Kruegerowa, chodzili od domu do domu, wyrzucając z nich ludność, rabując wszystko, co miało jakąś wartość i niszcząc książki i obrazy.

Mnie wraz z żoną wyrzucono na podwórze domu i postawiono pod murem. Staliśmy z podniesionymi rękami tak długo, aż oprawcy nasze mieszkanie splądrowali i okradli. Zabrano nam 250 zł gotówki i nowy aparat radiowy. Resztę naszego dobytku zostało splądrowana, a książki i obrazy zniszczone.

W tym czasie mój 20-letni syn Hilary znajdował się w pracy w drogerii przy ul. Długiej. Miał on to nieszczęście, że w dniu 3 września na polecenie wojska polskiego odprowadził wraz z innymi na posterunek policji Niemkę Krueger, która zresztą natychmiast została zwolniona. Teraz na jej oskarżenie Butz wraz z gestapowcami pojechali po syna samochodem. Wpadli do drogerii i z miejsca pobili go w tak okrutny sposób, że obecna przy tym właścicielka drogerii, p. Kiesrowska, zemdlała. Nieprzytomnego wrzucono do samochodu.

Po przywiezieniu na miejsce zbiórki mieszkańców Jachcic syna oraz trzech innych chłopców (dwóch z nich znałem – byli to Wojdylak i Gomułka) przedstawiono jako bandytów i zbrodniarzy. Zbito ich i skatowano. Musiałem na to patrzeć.

Widziałem syna blisko siebie, skrwawionego, z podniesionymi rękami, spoglądającego na mnie błagalnym wzrokiem, wyglądającego od ojca ratunku, którego dać nie mogłem. Kiedy bitym ręce opadały, gestapowcy bili ich po rękach, kopali po nogach.

Scena pastwienia się trwała bardzo długo. Wszystkich innych mieszkańców poddano wśród szykan przesłuchaniu, po którym niektórych zwolniono, a resztę wywieziono do koszar artyleryjskich, gdzie przez kilka tygodni byli przetrzymani i skąd nie wszyscy wrócili. Syna i czterech innych chłopców wrzucono do samochodu i wywieziono, nie wiadomo gdzie. Od tego czasu wszelki ślad po nich zaginął. Zapewne zostali zastrzeleni gdzieś w okolicznych lasach.

Równocześnie z bestialskimi mordestwami, dokonywanymi na Polakach, prowadzona była wielka akcja propagandowa, mająca wykazać ich winę w czasie „Bromberger Blutsonntag". Tomy bydgoskiej „Deutsche Rundschau" przepełnione były opisami makabrycznych zbrodni „polskich bandytów, sadystów, bestii, podludzi".

Powołana specjalna komisja gestapo dla ustalenia strat ludności niemieckiej w Bydgoszczy zdołała zebrać zaledwie 108 nazwisk na swej liście, której oczywiście nie opublikowano, oficjalnie bowiem przyjęto wersję kilku tysięcy rabitych w samej Bydgoszczy, a w całej Polsce – 62 tysiące.

Przygotowano też cmentarz honorowy, na którym znalazły się groby 600 rzekomo pomordowanych Niemców, lecz połowa z tej liczby grobów nosiła napisy „unbekannt" (nieznany). Pracownik służby cmentarnej, Adrian Sikorski, zeznał po wojnie przed Komisją do Badania Zbrodni Hitlerowskich, że na „Ehrenfriedhofie" grzebano zwłoki wszelkich osób narodowości niemieckiej, które zmarły w tym czasie, na przykład wskutek bombardowań, samobójstw itp. Zwożono zwłoki z całej okolicy, nawet z Olsztyna.

SPROWADZONA do realnych faktów „krwawa niedziela" była jedynie epizodem walk na wielkim froncie wojny i mieszkańcy Bydgoszczy nie poczuwali się do żadnej odpowiedzialności za starcia, spowodowane przez dywersję. Dlatego też bez żadnych obaw wracali do swego miasta z wojennych tułaczek. A tymczasem w Bydgoszczy czekał na nich dyszący nienawiścią siepacze hitlerowscy.

Tylko dzięki przypadkowi udało mi się uniknąć losu tysięcy niewinnie pomordowanych bydgoszczan. Nie poczuwając się do żadnej winy, gdyż nikomu z Niemców bydgoskich nie uczyniłem najmniejszej krzywdy, w połowie października spokojnie wróciłem do Bydgoszczy. Na dworcu autobusowym w Poznaniu spotkał mnie znajomy, któremu udało się wymknąć z Bydgoszczy. Powiedział mi, że jestem poszukiwany, że nawet nagrodę wyznaczono za ujęcie mnie. Ze gestapowcy wpadli do naszego mieszkania i zabili gospodynię, a rzeczy nasze, książki, papiery powyrzucali na podwórze domu i tam spalili.

Nie spodziewałem się takich represji za przynależność do Straży Obywatelskiej, ale cóż – jak się później przekonałem, nie za takie sprawy ludzie ginęli. Rzeźnika Gniewkowskiego Sondergericht skazał – na przykład – za to na śmierć, iż się ironicznie uśmiechał, gdy 3 września prowadzono ujętych Niemców.

Głównymi inspiratorami wyniszczenia ludności polskiej w Bydgoszczy byli volksdeutsche miejscowi, którzy zaraz po wkroczeniu Wehrmachtu masowo wstępowali do Hilfspolizei (policja pomocnicza), której liczba wyniosła 1500 osób. Później na całym Pomorzu powstał Selbstschutz (samoobrona), który rozwinął tak niebywały terror, że nawet gestapo zaprotestowało przeciw samowoli jego członków (w aktach zarządu miejskiego zachował się list w tej sprawie). Owszem, gestapo chciało też wyniszczyć żywioł polski, ale po swojemu, z większym wyrachowaniem: niech Polacy przed śmiercią jeszcze popracują na rzecz Trzeciej Rzeszy...

Organizatorem wrześniowej dywersji był jeden z miejscowych przywódców niemieckich, Gero von Gersdorff, a jego macodawcą Ludolf von Alvensleben, adiutant Himmlera. Alvensleben przyjeżdżał parokrotnie na Pomorze przed wojną, by instruować członków pomorskiej NSDAP. On też stanął później na czele Selbstschutzu.

W galerii katów Bydgoszczy, których nie jesteśmy w tej krótkiej relacji w stanie wymienić, szczególne miejsce zajmuje kreisleiter Kampe. Bezwzględny w drodze do tego stanowiska wobec konkurentów, bezwzględny w stosunku do Polaków, okazał się w końcu zwykłym złodziejaszkiem. Za kradzież polskich mebli usunięto go z urzędu. Człowiek, który ma na swym sumieniu kierowanie zbrodniczą działalnością ówczesnych władz hitlerowskich, dziś żyje sobie spokojnie w NRF. Adres: Werner Kampe, Hanower, Gustav-Adolf-Strasse 18.

Za zbrodnie bydgoskie odpowiadali przed sądami polskimi jedynie gauleiter Forster i b. prezydent policji, gen. v. Proeck. Innym NRF zapewnia opiekę i bezkarność.

Echa tzw. „krwawej niedzieli bydgoskiej" jeszcze do dziś plączą się po Niemczech zachodnich, jeszcze wciąż niektórzy publicyści powołują się na hitlerowskie kłamstwo. Jeszcze obecnie wódz NPD Adolf v. Thadden na wiecach przedwyborczych uspawiedliwia Hitlera, że rozpoczął wojnę, gdyż musiał stanąć w obronie mordowanych podczas „krwawej niedzieli bydgoskiej" volksdeutschów. Bogatych, że jasnowidz Hitler jakoś wcześniej wojnę rozpoczął, niż nastąpiła owa „rzeź" niemieckich niewiniątek...

Wspominając dziś 30-lecie dywersji hitlerowskiej w Bydgoszczy, pomiatamy o ponad 36 tysiącach ofiar. Jakie pociągnęła za sobą wymyślona przez gobebelsowską propagandę „krwawa niedziela". Pamiętamy o ofiarach krwawych lat okupacji i na miejscu pierwszych egzekucji, na bydgoskim Starym Rynku odsłonięty zostanie monumentalny pomnik ku ich czci i wiecznej pamięci następnych pokoleń.

Cesarz i ułani

Tomasz Białynia

Dwieście lat temu na Korsyce urodził się Napoleon Bonaparte. Warto z tej okazji zajrzeć do dolnośląskich kronik na szlak napoleońskich triumfów, tuż po batalach pod Jeną i Auerstaedt, tuż przed pokojem w Tylży i proklamacją Księstwa Warszawskiego. W tych wspominkach napoleońskich piękna miejsce zajmuje żołnierz polski, a najpiękniejszą z szarż ułańskich do literatury wprowadził sam Stefan Żeromski w „Popiołach":

„... pierwszy i trzeci szwadron polski skrócił cugle. Broń do stalki! Hurra! — przesunęło z kopyta, po polsku, co duchu w szkapach! Lancami psubratów — durch!... W jednym momencie konnica pruska, dragony, huzary, bośniaki na łeb, na szyję, w drzazgi!... Dowódcy tych Prusaków, jakiaśta Anhalt, na koniu w te pędy wciok..."

Ta opowieść wachmistrza Gajkosia, snuta przed Krzysztofem Cedro, ma za scenerię parów pomiędzy wsią Struga a Szczawnem — Zdrojem. Było to zaś tak:

Wiosna 1807 roku. Dolny Śląsk w zasadzie jest opanowany przez wojska napoleońskie. Silne garnizony stoją we Wrocławiu i Świdnicy. Ale pruskie załogi trzymają się jeszcze w Kłodzku, Nysie i Srebrnej Górze i z twierdz tych niepokoją Francuzów. Rządzi wojskowo Dolnym Śląskiem brat cesarza, książę Hieronim Bonaparte. Powiada się jednak, że gładki ten młodzik (liczy dopiero 23 lata) więcej myśli o spódniczkach mieszczek wrocławskich, aniżeli o głwerach i harmatach. To rozzuchwaliło Prusaków, którymi dowodzi — utrzymując oddziały wiedeńskie zamykem — książę magnat, książę von Piess-Anhalt. W swej XI Armii książę Hieronim ma jednak dowódcę nie byle jakiego, śmiałka i szczęściarza, zabijakę ongiś paryskiego, a w rodzinie-wojaka odpowiedniego — nawet wielkiego wielkiego wielkiego — największego z paryskich prawek. Jest nim generał Franciszek Lefebvre, późniejszy książę Gdańska, małżonek słynnej „Madame Sans-Gene".

W maju, pod Kątami Wrocławskimi, niestety, wojenne szczęście Lefebvra zawodzi. Wpada w zasadzkę pruską załogi twierdzy srebrnogórskiej, penetrującej możliwości zaatakowania Hieronima we Wrocławiu. Generał po porażce, ukrywa się z adiutantem i ordynansem w Jaworzynie Śląskiej, gdy uczuje wpisany na zwłoki, domem o kwaterowaniu w polskim Strzegomiu... polskich ułanów. Jest to fakt dla Lefebvra niespodziewany, gdyż wiadomo było, że Polacy z Legii Nadnadańskiej mieli zaś w Kaliszu. Lefebvre nie wiedział, że umyślny rozkaz Napoleona zatrzymał Polaków na Dolnym Śląsku, dla pomocy ks. Hieronimowi.

Generał podporządkowuje sobie dowódcę ułanów, kapitana Fijałkowskiego. W ciągu siedmiu minut dwa szwadrony stoją w szyku marszowym. Lefebvre chce pomścić swą porażkę, zajść drogę Prusakom, wracającym do swych forteczych leży srebrnogórskich. Natomiast, w nocy, podąża przez Świebodzice i Książ — na Strugę. Ułani sąmiują parów, gdy oddziały pruskie szczynają forsować tzw. „Czerwone wzgórze". Atak jest nagły, brawurowy, szarża ułańska kończy się kompletną klęską Niemców. Cudów odwagi dokonują bracia — Kapitan i sierżant Skarżyńscy. Łupem zwycięzców jest 12 armat, jeńcy, uciekcka ratuje się „Adjlatta Anhalt", czyli książę Pszczyński.

*

Lefebvre — mimo że mścisu Polaków sprostał w tej bitwie pod Szczawnem, jego talent strategiczny — na ułanów przeciał cały splendor zwycięstwa. Na jego żądanie książę Hieronim osobiście przed Otawską Bramą witał paradą wojskową wkraczających do Wrocławia ułanów Fijałkowskiego. Wrocław, pełen Polaków, gorącą im zgotował owację.

*

Szwadron spod Szczawna, wedle pierwotnych planów Napoleona, miał stanowić oddział kadrowy dla formowania polskiej jazdy. Plany te zmieniły pruskie niepokoje na obszarze podległym ks. Hieronimowi. Ułani pozostali do jego dyspozycji. Za Szczawno, nosili na mundurach 40 krzyży Legii Honorowej. Obległa twierdzę kłodzką i swymi szturmami przyczynili się do kapitulacji Prusaków. Niestety, nie zdobyli forteczy w Srebrnej Górze, a może raczej „kawał" zrobił im pokój w Tylży, automatycznie wprowadzający kapitulację twierdzy.

Pokój w Tylży, to jednak, było zarazem przejście z roli tułaczy do rangi armii — namiastki wprawdzie — ale państwa polskiego, proklamowanego właśnie Księstwa Warszawskiego. Gdy spod Srebrnej Góry docierają do Wrocławia, uczestniczą w symbolicznej niemal uroczystości. Defilądę ułanów spod Szczawna przyjmuje osobiście, bawiącego we Wrocławiu w drodze z Lipska do Warszawy, nowo mianowany wódz naczelny wojska księstwa — Książę Józef Poniatowski. Spotykają się tutaj także ułani z piechotą z Legii Nadvistlańskiej, a dowodzi nią późniejszy wódz spod Olszynki, generał Józef Chłopicki.

*

O udziale w historii bitwy pod Szczawnem toczy się ambitny spór dwóch miast: Legnicy i Świdnicy. Mianowicie — o miejsce stacjonowania szwadronów przed spotkaniem z gen. Lefebvre. Historyk dr Szyperski, splendor ten przyznaje Legnicy. Małgorzata Świderska-Łupińska umiejscawia postój szwadronu w Świdnicy. Za tezą dra Szyperskiego przemawia pamiętnik uczestnika szarży (wydany w 1851 roku) płk Dobieckiego, kilkakrotnie wymieniającego „miasto Lignicę". M. Świderska natomiast powołując się na kronikę miast śląskich, przypuszcza omyłkę pułkownika w topografii. Spór naukowców nie przeszkadza zmysłowi praktycznemu organizatorów turystyki w Legnicy i Świdnicy w wykorzystaniu rokrocznego „pro domo sua" ułańsko-napoleońskiej atrakcji.

Kartki z kalendarza

1883 r. 10. IX. — Wojska polskie pod wodza króla Jana Sobieskiego rozbiły pod Wiedniem nawałę turecką.

1877 r. 11. IX. — Urodził się Feliks Dzierżyński.

1934 r. 13. IX. — Urodził się Julian Tuwim.

1939 r. 1. IX. — Kapitulacja załogi Westerplatte po 7 dniach bohaterskiej obrony pod dowództwem mjr Sucharskiego.

8. IX. — Dotarcie do Warszawy wojsk hitlerowskich: początek bohaterskiej obrony stolicy.

8. IX. — Zawarcie polsko-francuskiej umowy o formowaniu oddziałów polskich na terenie Francji.

— Początek bitwy nad Bzurą. Natarcie armii „Poznań" na Stryków.

10. IX — Kanada wypowiedziała wojnę Niemcom.

— Rozbicie niemieckiej 50 dywizji piechoty z 8 armii przez polską armię „Poznań".

11. IX. Ewakuacja Naczelnego Dowództwa WP z Brześcia do Włodzimierza.

12. IX. — Lądowanie brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego we Francji.

— Rozkaz Naczelnego Dowództwa armii francuskiej o przerwaniu działań zaczepnych na froncie z Niemcami.

13. IX. — Dotarcie do Modlina resztek armii „Łódź".

1940 r. 13. IX. — Ofensywa armii włoskiej przeciw Egiptowi.

14—15. IX. — Pierwsza polska wyprawa bombowa z Wielkiej Brytanii na kontynent: udział dywizjonów 300 i 301 w nalocie na port w Boulogne.

1941 r. 8. IX. — Początek obrony Leningradu.

1942 r. 13. IX. — Początek bohaterskiej obrony Stalingradu.

1943 r. 8. IX. — Kapitulacja faszystowskich Włoch.

9. IX. — Początek rozbrajania armii włoskiej przez Niemców.

— Lądowanie 5 armii amerykańskiej pod Salerno.

1944 r. 8. IX. — Wkroczenie wojsk radzieckich do Bułgarii.

— Pierwszy atak niemieckich pocisków V-2 na Londyn.

9. IX. — Wybuch powstania zbrojnego w Bułgarii.

10—14. IX. — Udział 1 Dywizji im.

Drogi do wolności (II)

WRZESIEŃ 1939

płk Zbigniew Załuski

PIERWSZY ogólnonarodowy akt walki Polaków z faszyzmem hitlerowskim stanowi wojna obronna Polski we wrześniu 1939 r. Wbrew niemieckim twierdzeniom była ona poważnym i trudnym egzaminem ofensywnej siły hitlerowskiego Wehrmachtu. I września 1939 r. armia polska zaskoczona została w toku realizowania swojego planu mobilizacyjnego, w myśl którego miała wystawić co najmniej 1 200 000 żołnierzy. Mimo zaciekłości i szybkości niemieckiego ataku plan ten, jeśli chodzi o jednostki liniowe, został zrealizowany całkowicie, a w toku trwającej 35 dni kampanii ponadto sformowano dodatnie kilka dywizji oraz kilkanaście brygad i pułków nie przewidzianych planem mobilizacyjnym, w tym silne robotnicze oddziały obrony Warszawy.

Symbolem zaciętości polskiej obrony stały się dzieje odosobnionej placówki w Gdańsku na Westerplatte, gdzie 183 żołnierzy polskich broniło się przez 6 i pół dnia przeciwko 15-krotnej przewadze liczebnej przeciwnika. Należałoby wspomnieć również o groźnym przeciwuderzeniu dwóch armii polskich „Pomorze" i „Poznań" pod Kutnem (bitwa nad Bzurą), które to przeciwuderzenie zmieszało szyki trzech armii niemieckich, nacierających nad środkową Wisłą. Jeszcze w czwartym tygodniu wojny walczyły w odosobnieniu duże zgrupowania wojsk polskich: obrony Warszawy, Modlina i Helu oraz frontu środkowego, frontu południowego i samodzielna grupa operacyjna „Polesie", przebijająca się przez Lubelszczyznę ku Warszawie. Grupa ta walczyła najdłużej i złożyła broń po wyczerpaniu zapasu amunicji w dn. 5—6 października 1939 r. Armia polska uległa wiec ostatecznie po 35 dniach walki, tracąc w zabitych i rannych ok. 25 proc. swego stanu.

Niezwykle trudna sytuacja strateczna, niewygodny kształt granicy, który dawał Niemcom już w punkcie wyjściowym kampanii głębokie obustronne oskrzydlenie sił polskich oraz przewaga liczebna i techniczna przeciwnika uniemożliwiły Polsce skuteczną obronę. Mimo to jednak oór Polski przykuł do frontu wschodniego na dłuższy czas 80 proc. niemieckich wojsk lądowych, wszystkie dywizje pancerno-motorowe, wszystkie co do jednego niemieckie czołci oraz 60 proc. lotnictwa, w tym prawie wszystkie nowoczesne samoloty bojowe. O skali i zaciętości oporu żołnierza polskiego, stawianego umiejętnie — mimo iż już pierwszego dnia Niemcy mieli prawie dwukrotną przewagę w sile żywej, mieciokrotną w czołcach i dziewięciokrotną w samolotach bojowych — świadczyć może fakt, że dla pokonania armii polskiej musieli zużyć tyle samo pocisków artyleryjskich, granatów moździerzowych i bomb, co później, w roku 1940, dla pokonania czterech armii koalicji (Francja, Wielka Brytania, Belgia i Holandia) na froncie zachodnim.

Trzytygodniowa obrona Warszawy wciągnęła więcej sił niemieckich niż przełamanie Linii Maginota, a w terrorystycznym nalocie na Warszawę 25 września 1939 r. Niemcy użyli 1 150 samolotów, podczas gdy w późniejszym słynnym nalocie na Coventry — tylko 700 samolotów.

Straty niemieckie w Polsce, choć stosunkowo nieznaczne w sile żywej — 16 343 zabitych (wiarygodnej liczby rannych nie posiadamy) były jednak znacznie poważniejsze w sprzęcie i materiałach wojennych. Zniszczeniu, ciężkim uszkodzeniom bądź całkowitemu zużyciu eksploatacyjnemu uległy 674 czołgi, 319 samochodów pancernych, 6 046 samochodów osobowych i ciężarowych oraz 612 samolotów. Stanowiło to ok. 30 proc. niemieckiego parku czołgowego i 32 proc. samolotów bojowych użytych przeciwko Polsce. Ponadto — według świadectwa głównego kwatermistrza armii niemieckiej — zużyto większość zapasów amunicji, prawie wszystkie bomby lotnicze i znaczną część zapasu paliw płynnych. Nazajutrz po kampanii polskiej Wehrmacht był niezdolny do wykonania żadnych poważniejszych operacji zaczepnych i potrzebował aż 7 miesięcy, by w przededniu najazdu na Francję w maju 1940 r. osiągnąć w przybliżeniu taka sama „gotowość uderzeniowa", ten sam stan ilościowy sprzętu bojowego i zapasów, jaki posiadał we wrześniu 1939 r.

Zasadnicze znaczenie wysiłku polskiego we wrześniu 1939 r. polegało właśnie na tym, że opór Polski, wiążąc i wyczerpując siły niemieckie, zapewnił alianom czas niezbędny do zmobilizowania sił zbrojnych oraz przestawienia przemysłu na produkcję wojenną, a także otworzył przed nimi ogromne możliwości aktywnych działań wojennych, w których już sam stosunek sił na froncie zachodnim (5:1 we wrześniu i 3:1 w październiku 1939 r.) gwarantował im powodzenie. Niestety, te możliwości stworzone wysiłkiem i krwią narodu polskiego, nie zostały przez aliantów w najmniejszej mierze wykorzystane. Podobnie zresztą oraz... [illegible] ...doświadczeń kampanii polskiej, oraz praktycznego zastosowania nowych zasad wojny — niemieckiego Blitzkriegu — przewidywane przez oficerów polskich, nie zostały wykorzystane przez alianckie sztaby.

Nie jest to już jednak winą Polski.

W związku z wizytą w Polsce prezydenta Czechosłowackiej Republiki Socjalistycznej, generała armii, Ludvika Svobody, byłego dowódcy Legionu Czechosłowackiego w Polsce oraz jednostek czechosłowackich sformowanych w Związku Radzieckim, publikujemy fragmenty jego wspomnień, wybrane z obszernej, ponad 500-stronicowej książki generała — „Z Buzuluku do Pragi", wydanej przez MON.

W walce ze wspólnym wrogiem

Ludvik Svoboda, generał armii

prezydent Czechosłowackiej Republiki Socjalistycznej

ZACZAŁEM intensywnie szukać kontaktu z ludźmi, którzy organizowali ucieczki do Polski. Od pewnego znajomego z Zalkovic koło Kromieryża, który brał udział w pracy podziemnej w rejonie ostrawskim, otrzymałem adres i hasło (...), czerwca 1939 roku o godzinie 23.30 wskoczyliśmy do ruszającego pociągu i w budce hamulcowego przejechaliśmy granicę. O 23.45 byliśmy już w Szumbarku, gdzie oczekiwał nas polski zawiadowca stacji Michalik i komendant polskiej straży celnej. Ze zdumieniem stwierdziliśmy, że razem z nami z pociągu towarowego wysiadają dalsi chłopcy, którzy zbiegli z okupowanej ojczyzny. Mogło ich być razem około pięćdziesięciu. Wolałem nie myśleć o tym, co by się było stało, gdyby członkom naszej organizacji podziemnej nie udało się odwrócić uwagi hitlerowskich żołnierzy od naszego pociągu.

(..) Nasze życie w Krakowie nie było lekkie. Przez kilka tygodni musieliśmy utrzymywać się za własne pieniądze, które przywieźliśmy ze sobą albo któreśmy sami czy też urzędnicy konsulatu zdobyli, sprzedając wartościowe rzeczy, biżuterię i ubrania. Czasem naprawdę nie wiedzieliśmy, co jutro damy jeść żołnierzom. A tu wciąż przybywali nowi i nowi. Na przykład z Pieszczan uciekła grupa słowackich lotników, którzy nie chcieli służyć klerofaszystowskiemu reżimowi Tuki i Tiszy. Bardzo pomagała nam kolonia czechosłowacka w Krakowie, zwłaszcza artysta malarz Vlastimil Hofman. Sytuacja poprawiła się dopiero po interwencji naszego wicekonsula, doktora Henzla. Komendant krakowskiego garnizonu zakwaterował nas w pustym obozie wojskowym w Bronowicach Małych i zapewnił nam wyżywienie według norm armii polskiej. Wtedy już także inaczej zaczynały na nas spoglądać i czynniki rządowe w Warszawie, ponieważ nawet politycznie niezbyt przewidujący człowiek mógł sobie bez trudu wykalkulować, że apetyt Hitlera na nowe terytoria i podboje bynajmniej nie został przez złożenie mu w ofierze Czechosłowacji zaspokojony i że teraz z pewnością przyjdzie kolej na Polskę.

DO 15 SIERPNIA 1939 roku zebrało się w Bronowicach Małych 150 osób trzech tysięcy żołnierzy - emigrantów. Przedstawiciele tzw. zagranicznego ruchu wyzwoleńczego na Zachodzie, którzy rezydowali w tym czasie przeważnie w Paryżu, gdzie pierwsze skrzypce grał ambasador czechosłowacki Osusky, czynili starania, by wszyscy zdolni do walki mężczyźni zostali skierowani na Zachód bądź okrętami przez Gdynię, bądź też przez Rumunię. Chcieli zapobiec temu, żeby w Polsce pozostała jakaś większa jednostka, gdyż groziło niebezpieczeństwo, że mogłaby ona przejść do Związku Radzieckiego. W ten sposób niektórzy ludzie, których wysyłaliśmy na Zachód, z winy naszego tymczasowego kierownictwa walki wyzwoleńczej na Zachodzie, na którego czele stali dr Osusky i generał Ingr, znaleźli się w Legii Cudzoziemskiej. Znaczna część z tych dwóch tysięcy żołnierzy, którzy musieli odpłynąć do Francji, chciała zostać na terytorium Polski; już wtedy przeczuwali, że zarówno politycznie, jak i wojskowe centrum walki o naszą wolność będzie na Wschodzie, a nie na Zachodzie, który nas w jesieni 1938 roku tak haniebnie zdradził.

Po zawarciu umowy z rządem warszawskim wolno nam było pozostawić w Polsce tylko 1000 ochotników, którzy zostali skierowani do obozów szkoleniowych w Leśnej i Baranowiczach. Tam miała zostać sformowana 1 brygada czechosłowacka w sile pięciu batalionów. Do jej zorganizowania już jednak nie doszło (...).

Pod naciskiem posuwających się armii hitlerowskich cofaliśmy się na Wschód. W ostatnich dniach niepodległości Polski żołnierze nasi starli się z nieprzyjacielem w Tarnopolu, gdzie jako obrona przeciwlotnicza miasta zestrzelili dwa faszystowskie bombowce. W rejonie Tarnopola mieliśmy pierwsze straty: jeden żołnierz został zabity, a kilkunastu odniosło rany.

ZA POŚREDNICTWEM posła czechosłowackiego w Polsce poprosiliśmy ambasadę radziecką w Warszawie, aby przygotowała przejście naszej jednostki do ZSRR. Ambasador Szaranow powierzył to zadanie attaché wojskowemu w Warszawie, pułkownikowi wojsk pancernych P. S. Rybałce, późniejszemu marszałkowi wojsk pancernych i dwukrotnemu Bohaterowi Związku Radzieckiego, z którym później ramię przy ramieniu rozegraliśmy naszą pierwszą bitwę pod Sokołowem, z którym walczyliśmy o Kijów i z którym spotkaliśmy się w maju 1945 roku w Pradze, wyzwolonej przez jego 3 armię pancerną oraz przez 4 armię z odwodu Naczelnego Dowództwa, dowodzoną przez generała Leliuszenkę.

18 września 1939 roku spotkał się nasz legion na terytorium Ukrainy zachodniej z Armią Czerwoną i w tym samym dniu przeszedł do Związku Radzieckiego. Była to doniosła chwila — spotkaliśmy się z najwierniejszymi przyjaciółmi, z ludźmi radzieckimi. Witali nas i przyjmowali serdecznie.

W 30 ROCZNICĘ

Twierdzą im był każdy próg

mjr Ryszard Majewski

BOHATERSKI epos polskiego Września doczekał się już wielu różnorodnych opracowań. Nie we wszystkich jednak fragmentach owych dni krwi i chwały 1939 r. nasza wiedza rozkłada się w sposób równomierny. Jednym z najbardziej bohaterskich a mniej stosunkowo znanych epizodów kampanii wrześniowej była obrona miast górnośląskich przez Powstańcze Bataliony Obrony Narodowej.

OBRONA CHORZOWA

O PIERWSZYCH godzin wojny Chorzów pozostawał ogłoszony z regularnych oddziałów wojskowych, gdyż stacjonujący tu 75 pp wymaszerował na pozycje obronne pod Tychami. W mieście pozostały jednak powstańcze oddziały samoobrony dowodzone przez por. Stefana Sieradzonia, które przez dwa dni skutecznie likwidowały wszelkie zakusy hitlerowskich dywersantów.

W nocy z 3 na 4 września do Chorzowa wkroczyły oddziały Wehrmachtu oraz bojówki „Freikorpsu". 4 września w intencjach miejscowych Niemców obchodzony miał być jako dzień zwycięstwa i odwetu. Już w południe przeszedł ulicami miasta pierwszy hitlerowski pochód z przygotowanymi zawczasu flagami i bębnami. Powstańcy jednak nie zamierzali dać za wygraną. Po południu otworzyli silny ogień z różnych punktów miasta (m. in. z wieżowca przy ul. Wolności, z Domu Ludowego przy ul. Sienkiewicza, ze składnicy drzewa w Ligocie Górniczej i z kostnicy straży pożarnej). Polacy wymietli hitlerowców z ulic i zaatakowali ratusz, w którym zabarykadowali się żołnierze niemieccy oraz miejscowi i bytomscy dywersanci.

ŚLĄSKIE TERMOPILE

PODOBNIE jak w Chorzowie również i w Katowicach w momencie wybuchu wojny nie było regularnych oddziałów wojskowych. Całością powstańczej samoobrony kierował od 1 IX Jan Foska.

3 września, w związku z odejściem ze Śląska armii „Kraków", opuściła Katowice Komenda Główna powstańczej samoobrony wraz z komendantem głównym Emanuelem Tomankiem oraz oddziałami ochrony. Na odprawie przeprowadzonej parę godzin wcześniej Tomanek pozostawił dowódcom miejscowych oddziałów wolną rękę w sprawie opuszczenia miasta lub pozostania na miejscu. Dowódca batalionu miejskiego Nikodem Renc postanowił pozostać w Katowicach. Poza jego grupą pozostała tu także kompania powstańcza Franciszka Kruczka (170 ludzi) oraz oddziały Karola Orendorza, Franciszka Bazana, Pawła Kempnego, Franciszka Fejge, grupy młodzieżowe Piechaczka i Olejniczaka oraz oddziały, które przedarły się z Chorzowa, z powiatów katowickiego i rybnickiego.

Oddziały te obsadziły najważniejsze punkty Katowic: park Kościuszki ze znajdującą się w nim wieżą spadochronową, 14-piętrowy wieżowiec przy ul. Zwirki i Wigury, Dom Powstańca, Dyrekcję Kolei, KKO, Dyrekcję Policji, Teatr Polski i inne budynki. Gdy 3 września wieczorem podeszły do miasta oddziały rozpoznawcze 239 niemieckiej dywizji piechoty zostały ostrzelane z parku Kościuszki silnym ogniem broni maszynowej. Niemcy wobec zapodającego zmierzchu nie odważyli się na wejście do miasta, lecz wycofali się do folwarku w Brynowie, czekając na nadejście sił głównych. W tym samym czasie kompania por. Kruczka odparła w rejonie ul. Szkolnej silne ataki dywersantów.

W nocy z 3 na 4 września wyruszyły z Bytomia do Katowic silne oddziały SS, SA, Freikorpsu oraz straży granicznej. Kolumna ta została ostrzelana przez powstańców w Świętochłowicach, następnie zaś napotkała na silny opór w Załężu. Gdy po dwugodzinnej walce w Załężu hitlerowcy dotarli wreszcie do placu Wolności dostali się pod silny ogień powodzony z Domu Powstańca. Dopiero podejmowanie baterii haubic złamało twardą obronę polską. Pod osłoną ognia artylerii Niemcy przedarli się ul. 3 Maja w stronę Rynku. Tu jednak dostali się w zasadniczą ogniową. Placówka powstańcza w gmachu gimnazjum przy ul. 3 Maja przepuściła szperacy idących na czele hitlerowskiej kolumny, otwierając ogień z ckm-u do sił głównych Wehrd Niemców, którzy ponieśli ogromne straty wybuchła panika. Placówka tracąc dwóch ludzi zdołała się wycofać.

INNA kolumna dywersantów niemieckich dowodzona przez niejakiego Wulfera maszerowała na Katowice przez Chorzów Dąb. Po pierwszym starciu z powstańcami w Dębie kolumna zatrzymana została przez kompanię Kruczka broniącą kopalni „Katowice". Powstańcy odparli tu wszystkie ataki dywersantów i dopiero groźba całkowitego okrążenia zmusiła ich do wycofania się na Małą Dąbrówkę. Inna część grupy Wulfera zaatakowała śródmieście i po utarczkach w okolicy hali targowych i synagogi dotarła do Rynku. W tym momencie Polacy otworzyli silny ogień ze wszystkich domów w Rynku, z dachów, z gmachu teatru i PKO.

Bohaterską walkę stoczyła grupa młodzieży broniącą wspólnie z oddziałem Renca parku Kościuszki. Długo i zażarcie bronili się harcerze na wieży spadochronowej. Opór ich złamano dopiero przy pomocy dział i moździerzy. Ze szczytu wieży hitlerowcy zrzucili ciała pięciu harcerek, które walczyły aż do końca. Podobny los spotkał grupę harcerzy broniących 14-piętrowego wieżowca.

Najdłużej wytrwali w walce obrońcy Domu Powstańca. Niemcy musieli zdobywać tu szturmem każde piętro, każdą izbę. Pozostałych przy życiu obrońców tej reduty Niemcy rozstrzelali na rogu ulicy Zamkowej i Rynku. Tutaj też wymordowano i innych wziętych do niewoli bohaterskich obrońców Katowic, a w tej liczbie: Nikodema Renca i jego syna Józefa, Franciszka Fejge, Henryka Kurka, Józefa Olejniczaka, Piotra Orendorza, Franciszka Pale, Walentego Pranobisa, Karola Regera i około 100 innych osób.

Ci z obrońców, którzy ocaleli w walkach przedpołudniowych nie szukali ocalenia lecz walczyli do końca. Około godziny 16 wznowili działania bojowe. Powstańcy otwierali ogień w różnych punktach miasta, szybko przenosząc się z miejsca na miejsce. Ośrodkami ich oporu były m. in. budynek muzeum przy ul. Jagiellońskiej, wieża kościoła protestanckiego, wieża ciśnień i dachy domów. Działania te z ogromnym natężeniem prowadzone były jeszcze przez kilkanaście dni. Ostatni ukrywający się w piwnicach bojowcy zostali odkryci i wymordowani dopiero koło 20 września.

Bohaterom tym nie postawiono pomników. Ciała ich spoczywają w bezimiennych mogiłach, rozsianych na całej górnośląskiej ziemi. To oni — powstańcy śląscy, młodziutkie harcerki i harcerze swoją krwią i życiem zadokumentowali wierność Polsce. Bronili swego kraju przed śmiertelnym wrogiem. Twierdzą im był każdy próg...

Już w pierwszych dniach hitlerowskiej agresji „Sonderkomando" rozpoczęły swoją krwawą działalność.

T. Kościuszki w wyzwalaniu Pragi.
12. IX. — Zawieszenie broni między Rumunią a państwami koalicji antyhitlerowskiej
12—13. IX. — Bitwa III Brygady AL im. J. Bema pod Ewina ze zgrupowaniem hitlerowskim.
13. IX. — Powstanie na Kielecczyźnie X Brygady AL „Zwycięstwo" i XI Brygady AL „Wolność".
14. IX. — Wyzwolenie Gandawy przez polską I Dywizję Pancerną.
1945 r. 12. IX. — Rządy Polski i Rumunii nawiązały stosunki dyplomatyczne.
14. IX. — Podpisano umowę między rządem polskim a UNRRA.
1946 r. 13. IX. — Opublikowano list otwarty KC PPR i CKW PPS do NKW PSL w sprawach obrony zachodnich granic Polski na arenie międzynarodowej oraz działań obcych polityków, podjęcia kroków przeciwko próbom ingerencji w wewnętrzne sprawy Polski ze strony reakcyjnych polityków anglosaskich, zajęcia stanowiska wobec działalności reakcyjnych band terrorystycznych w kraju i w kwestii propozycji tzw. wyborczego.
1947 r. 14. IX. — We wsi Grondy koło Ostrowi Mazowieckiej wmurowano akt erekcyjny pod pomnik 41 000 jeńców radzieckich zamordowanych przez hitlerowców w 1941 r.
1951 r. 12. IX. — Wydobyto wrak hitlerowskiego pancernika „Gneisenau" zatopionego u wejścia do portu gdyńskiego.
1952 r. 7. IX. — Zmarł Józef Węgrzyn, wybitny aktor sceny polskiej.

HISTORYCZNE WRATISLAVIANA

1408 r. 13. IX. — Bunt pospólstwa wrocławskiego przeciw radzie miejskiej.
1815 r. 7. IX. — Pierwsze po wyzwoleniu przedstawienie „Halki" we Wrocławiu.
1956 r. 11. IX. — Zatwierdzenie statutu Towarzystwa Miłośników Wrocławia.

(Oprac. J. D.)

Sopot 69

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 1)

tu piosenki w Bratysławie, występy na estradach Związku Radzieckiego z repertuarem najnowszych szlagierów wielu krajów.

Muślim Magomajew wystąpi ponownie w tym roku na scenie gdańskiej opery prawdopodobnie we wrześniu lub w listopadzie.

JORDANKA CHRISTOWA, Bułgaria, II nagroda. Występowała już kilkakrotnie w naszym kraju, notomiast na festiwalu w Polsce wystąpiła po raz pierwszy. Jest to oczywiście debiut sopocki, bowiem występowała już na festiwalach w Rumunii, na Węgrzech i Kubie. Jest absolwentką instytutu muzyki lekkiej radia i telewizji w Sofii. Przygotowuje się do nakręcenia pierwszego telewizyjnego, kolorowego filmu dla telewizji bełgijskiej.

– Jak czuła się pani na estradzie polskiej w Sopocie?

– Pewną trudnością było dla mnie zaśpiewanie polskiej piosenki, jak dotychczas bowiem śpiewałam na festiwalach wyłącznie utwory bułgarskie. Tym większą satysfakcję sprawiło mi wyróżnienie przez jury.

– Pani dalsze plany.

– Otrzymałam propozycje występów w Japonii i we Włoszech.

CONCHITA BAUTISTA, Hiszpania, III nagroda. Zafascynowała ona mężczyzn hiszpańskim temperamentem, a damską widownię festiwalową oryginalnymi kreacjami.

– Kilka wrażeń o swoim pobycie w Polsce.

– Słyszałam, w swoim kraju, o wielkiej muzykalności Polaków. To się sprawdza, jesteśmy spokrewnieni naturami. O dużej muzykalności świadczą zarówno wasze piosenki jak i reakcja widowni.

HENRI DES, Szwajcaria, „nagroda „Dnia międzynarodowego". W czasie festiwalu sopockiego cieszył się dużą popularnością.

– Jakie były początki kariery piosenkarskiej?

– Śpiewałem gdy miałem 18 lat, wówczas wziąłem udział w konkursie amatorów, nie odniosłem tam sukcesu. Nie zrezygnowałem ze śpiewania, kupiłem partyturę ze słowami i przy akompaniamencie gitary zacząłem śpiewać w nocnych lokalach. Raz wybrałem się autostopem do Paryża i nie mając za co wrócić do domu śpiewałem w lokalach. Zbierałem pieniądze. Następnie wyjechałem do Szwajcarii i tam zająłem się audycjami płytowymi. Obecnie śpiewam w kabaretach, a także w TV. Śpiewam zawodowo 3 lat.

– Zainteresowanie poza piosenką?

– Lubię książki szczególnie Mrożka. Ostatnio trzy razy czytałem „Słowika" (przyp. aut. – jest to książka Mrożka).

– Wrażenia z Polski?

– W Polsce jestem po raz pierwszy. Sopot przyrównuję do Saint Tropez.

Na pytanie o sukcesy odpowiedział: „Nie one odgrywają rolę w moim życiu, lubię gdy publiczności podoba się mój występ i bawi się razem z nami".

HENRI SEROKA, nagroda prasy, wielkie powodzenie i popularność. Postawiliśmy te same pytania co Henri Desavi.

– Początek kariery?

– Śpiewam dwa lata. Rozpoczynałem jako trubadur w lokalach Brukseli, później poznałem się ze swoim przyjacielem gitarzystą Pierre Fontalem, obecnie gramy i śpiewamy. Lubimy gdy publiczność się bawi. To jest dla nas największa przyjemność.

– Jest pan polskiego pochodzenia, może coś z tym?

– Ojciec mój jest Polakiem, matka Belgijką.

– Pana wrażenia z pierwszego pobytu w Polsce?

– Wspaniałe. Spotykam się wszędzie z ogromną serdecznością. Naprawdę czuję, że Polska jest moją drugą ojczyzną.

PS. Chcielibyśmy powiadomić WrPIA o przyjeździe w połowie października na gościnne występy w telewizji polskiej, Henri Desa. Czy WrPIA nie byłoby zainteresowane w umożliwieniu wrocławskiej publiczności obejrzenia jednego z laureatów festiwalu sopockiego?

JANUSZ GOŁUCH

Z gościną u hippiesów

Wdychając „tri"

Zofia Kielan

PIERWSZE grupki wzbudzających powszechne zdziwienie tudzież oburzenie — bo dziwacznie odzianych — dziewcząt i chłopców pojawiły się już przed dwoma laty. Dysponując nieograniczoną ilością wolnego czasu przesiadywali i przesiadują zresztą nadal w kawiarniach, szlifowali i szlifują zresztą nadal bruki, sobie tylko znajomym szlakiem: zbierali się i zbierają w pomieszczeniach, których adresu bacznie strzegą przed dorosłymi.

Ów, „wzór" życia dali ich rówieśnicy znad Tamizy, Sekwany i pewnej ilości innych rzek. Zwą się podobnie jak ci ich rówieśnicy — całkiem nie po polsku — HIPPIES!

Grupka wychowawców wpadła niedawno na ślad takiej meliny. Zgodzono się co do tego, że mieszkańcom trzeba złożyć wizytę. Spróbujmy zdać sprawozdanie z kontroli.

Obiekt dosłownie się rozwala. Nie nadawał się już do niczego innego, tylko do rozbiórki. Sublokatorzy, zajmujący dotychczas ten „pałac" już się wyprowadzili. Niebawem, pod osłoną nocy — wnieśli tu swoje bety hippiesi. Dom — dla informacji, mieści się przy ul. Słodowej.

Mieszkańcy na początku pozostają głuść na dzwonek. Ponieważ mamy pewność iż znajdują się we wnętrzu, kołaczemy coraz głośniej. Drzwi uchyla nam nareszcie człowiek z imponującą brodą.

W nozdrza bije odór zatęchłej wilgoci. Nowi lokatorzy nie dokładają wiele starań, aby wytrzymać tu jaki taki porządek. Na ścianach, a nawet na sufitach dostrzegamy malowidła o barwie intensywnej. Malowidła zajmują niemal całą powierzchnię. Między nimi wpisano hasła o treści etyczno-filozoficzno-erotycznej. Autorom głośnie chędziło o stworzenie jakiejś szczególnej atmosfery, atmosfery przesyconej czymś, co jest nad wszelką wątpliwość niezwykłe, tajemnicze i nieokreślone.

W mieszkaniu zastajemy siedem osób. W rzeczywistości — słyszę — bywa tu znacznie więcej osób hołdujących temu stylowi bycia. Z obliczeń szacunkowych, nawet tych najskromniejszych, wynika, że na Wrocławiu działa spora, jak na takie dziwaczenie, bo liczącą kilkadziesiąt członków grupka hippiesów. Przyjeżdżają ponadto na gościnne występy hippiesi z Krakowa, Warszawy i innych ośrodków. W większości w takich wypadkach zatrzymują się tutaj.

A JOŁA żywot beztroski. O przyjętym przez owych młodych ludzi sposobie bycia, wymownie zdają się świadczyć butelki po alkoholu uszeregowane w jednej z zajmowanych przez nich komnat. Jest ich tak sporo, że wypełnione mogłyby tworzyć wyposażenie wielkiego baru. Do Świadkowi o najuważniejszym. Najbardziej bowiem atrakcyjną czynnością, której oddają się z upodobaniem, jest wdychanie „tri" (trójchloroetylenu) — środka służącego m. in. do czyszczenia garderoby. Maczają kawałki waty w tym płynie, a potem upajają się nim, zupełnie, jak by to były francuskie perfumy, czy jakaś wspaniała wiązanka kwiatów.

Po paru minutach takiego wdychania wpadają w stan oszołomienia, sprzyjającego swobodzie bycia. Najbardziej egzaltowani, o ile na coś innego nie mają ochoty wykazują przy tym ambicje twórcze, chwytają za ołówki i zaczynają układać utwory poetyckie.

Czytałam notatnie te wiersze napisane pod działaniem „tri". Zupełnie brednie. Inni pacykują obrazy, które są tyle warte, co ta cała twórczość poetycka.

Przedefiluowaliśmy przez wszystkie komnaty i usiłujemy nawiązać z towarzystwem coś w rodzaju dyskusji tzn. pytamy ich o powody, dla których przyjęli tak szokujący styl bycia. Przyznają sami, iż stanowi on źródło wielu konfliktów. Na ulicy są sensacją. Słyszą drwiny pod swoim adresem z racji długich i utrzymanych w nieładzie fryzur, z racji też ubiorów: panowie noszą „szykowne" spodnie postrzępione w dołu, na nogawkach... powyżej widnieją olejne napisy o treści nierzadko dość frywolnej. Uzupełnieniem tego są kwiaciste narzuty, a także kożuchy (nosi się je zawsze włosem na wierzch) oraz wysuwana biżuteria — podwędzone najprawdopodobniej mamom czy siostrom, sznury koralików i łańcuchy wyprodukowane ze zgoła innym przeznaczeniem. Przedstawiają w tym wszystkim widok dość żałosny.

Gospodynie kilkorgu powymawiały mieszkania.

Więc niech odpowiedzą wreszcie, co ich pchnęło na drogę „kwiatów zła"! Przyczyny tego są bardzo proste.

Pochodzą — przyznają z rodzin materialnie sytuowanych lepiej aniżeli inne. Jak to określają „kominy społeczne". Korzyści płynące z tej zasobności były ich udziałem od początku. Wszystko wiec podtykano pod nos. Nie musieli się martwić o nic. Zaspokajano każdy kaprys.

A potem to już — powiadają — zaczęli wierzić stabilizacja, toteż nieuchronnie musiało nastąpić to, co się stało — co? No jasne. Ewolucja.

JEST jeszcze jeden powód ich działalności, o którym mówią raczej wzniośle szerzej. „Wrastaliśmy, podobnie jak nasi rówieśnicy w określonej atmosferze wychowawczej. Wpajano w nas ideały. Na każdym kroku słyszeliśmy, co dobre, a co jest złe. Potem odkryliśmy, że nasi dorośli nie stosują się w swym postępowaniu do zasad, w których nas wychowują. Nie przesądzimy, jeżeli powiemy, że to odkrycie było dla nas wstrząsem. Fałsz! Ohydny fałsz! Plawią się w fałszu jak jakieś paskudztwo w mętnej wodzie!

Odrzucało nas od tego zakłamania. Nie mogliśmy już dłużej w tym wszystkim.

Nie ma szans — krzyczą prawie, żebyśmy my, tak samo jak wy, mieli biedę, w której Kristalizuje się charakter człowieka; nikt z nas nie chce zostać w przyszłości tym, czym stali się rodzice; myśmy sobie tę biedę zainscenizowali!

Nie ma co! Każdy, kto uważa siebie za uczciwego człowieka zgodzić się musi chociażby z jakąś częścią argumentacji naszych interlokutorów. Dorośli, z którymi mieli kontakt odbiegują od przyzwoitych zasad postępowania. A jednak moralne podstawy działalności hippiesów, które mogłyby (według mnie w wątpliwy sposób) — uzasadnić ich rację bytu, zyskać — powiedzmy oplęątnie jakiś tolerancyjny a może i nacechowany szacunkiem stosunek społeczeństwa — podważają takie okoliczności.

Żaden z nich nie uczy się ani nie pracuje. Wyjaśmy ich personalia. Hippies nr 1 jest ex — uczniem Technikum Chemicznego. Hippies nr. 2 zaniechał studiów. Na II roku Wydz. Fizyki uniwersyteckiej. Kolezka (hippies nr 3) — przestał bywać na zajęciach prowadzonych w PWSSP. Hippies — (kal nr 4 ...ła bardzo jeszcze niedawno tzn. układnie do maja br. uczennicą X klasy Liceum Ogólnokształcącego. Jej przyjaciółka uważała za stosowne naukę porzucić wcześniej, bo w 6 klasie szkoły podstawowej. Młody człowiek, według harmonogramu hippies nr 6 — przerwał studia w krakowskiej ASP. Hippies nr 7 chodzi co prawda do X klasy Liceum Ogólnokształcącego; trudno jednak wyrokować, czy tę klasę ukończy. Zasadniczą przeszkodą będzie chyba dla niego „wielce absorbujący sposób bycia".

„TRI" LUB TEŻ „trójchloroetylen" to rzeczywiście znakomity środek do czyszczenia ubiorów. Dla tych cech znajduje szerokie zastosowanie.

Fot. M. Grotowski

Ale „tri", z czego nie wszyscy zdają sobie sprawę, jest płynem o silnym działaniu toksycznym. Nawet po krótkotrwałym zdychaniu oparów trójchloroetylenowych następują zmiany nerwu wzrokowego. Mogą to być nawet zmiany tego rodzaju, iż po ich zaistnieniu, traci się częściowo a nawet całkowicie (!) wzrok.

„Tri" atakuje intensywnie cały układ nerwowy, osłabia sprawność psychiczną (stępieniu ulegają mianowicie takie jej cechy jak: refleks, umiejętność koncentrzenia, zdolność przyswajania nowego materiału). Odurzenie „tri" powoduje szereg innych prożnych powikłań! W EFEKCIE KTÓRYCH NASTĘPUJE OPŚCIOWE LUB CAŁKOWITE KALECTWO!

Trójchloroetylen znajduje szerokie zastosowanie w przemyśle. Zapobiega się toksycznemu jego działaniu przez m. in. odpowiednie wentylowanie pomieszczeń. Tu o odprowadzaniu pary unoszącej się znad wątek, nie ma oczywiście mowy. Idzie o spotęgowanie jej działania, o maksymalnie prędkie odurzenie się. Po krótkim czasie odczuwamy zresztą wszyscy ból głowy.

Mając na uwadze więc wszystko, co na ten temat pisaliśmy, postawmy nareszcie pytanie: czy zjawisko „hippiesów" można zwalczyć przez samo tylko napiętnowanie, wyszydzanie? Przez zwrócenie uwagi niektórym rodzicom na konieczność roztoczenia staranniejszego dozoru nad dziećmi? Przez zasygnalizowanie zjawiska szkołom? Bylibyśmy w błędzie, gdybyśmy twierdzili, iż przez to rozwiązemy problem. Winno się sięgnąć po jeszcze inne środki, tzn. poddać ich wszystkich obowiązkowym badaniom lekarskim. W koniecznych przypadkach zastosować kurację odkażającą. A ponadto? Ponadto jeszcze oddać opiece prokuratorom prowodyrów wzgardzających te melinki, podsuwających młodszym, w imię własnej nieodpowiedzi, truciznę. Są truciciełami! Inney nazwy zastosować przecież nie można...

Słów pare skierowanych do samych hippiesów. Byliśmy podejmowani przez was taktownie i spokojnie. Rozprawialiśmy długo o tej waszej filozofii. Prosiliście na odchodnym — miłe widzimy każdego, byleby nie wyrządzono nam krzywdy. Zapamiętałam te słowa i właśnie dlatego, by pomóc spojrzeć wam na to wszystko trzeźwo, bu odsunąć krzywude straszliwą, nieodwracalną, trudną do wyobrażenia piszę o Was jak mogę najmocniej. Oto powód!

Tragedia w Benedict Canyon

PO UKOŃCZENIU zdjęć do filmu „Wstręt", kreująca główną rolę Catherine Deneuvé oddać się musiała pod opiekę psychiatry. Brutalne sceny wyczerpały jej system nerwowy. Komentarz reżysera Romana Polańskiego: „Życie jest brutalniejsze od najbardziej brutalnego filmu". To było przed dwoma laty. W nocy z ósmego na dziewiątego sierpnia bieżącego roku „życie" wyreżyserowało makabryczną scenerię, przed którą bronilaby się nawet fantazja Polańskiego. Na wieść o tej zbrodni, przebywający wówczas w Londynie Roman Polański zdołał jedynie, wstrząśnięty i załamany, zapytać: Cóż to za kraj!?

Cóż to za kraj? Pisaliśmy o tym już niejednokrotnie. Przytaczaliśmy liczby mówiące o wzroście przestępczości i zbrodni w Ameryce. Przypomnijmy raz jeszcze — w tym kraju 200 milionów broni palnej znajduje się w prywatnych rękach; w 1968 roku zginęło z rąk morderców 14.200 obywateli tego kraju; w 1967 roku popełniano w tym kraju co 43 minuty morderstwo. W ostatnich tygodniach zanotowano 50 morderstw jedynie w samym rejonie Los Angeles, z tego 29 makabrycznych zbrodni w ciągu 5 dni po masakrze w posiadłości Polańskiego.

Co działo się w nocy z 8 na 9 sierpnia br. w willi przy ulicy Cielo położonej w ekskluzywnej dzielnicy Hollywood, Benedict Canyon? Można na ten temat mieć tylko hipotezy. Żona Romana Polańskiego, 26-letnia Sharon Tate, gościła u siebie grono znajomych. Była w ósmym miesiącu ciąży, szukała więc towarzystwa; nie stroniła zresztą od niego nigdy.

Jest godzina 8 rano. O tej właśnie porze rozpoczyna zwykle pracę w domu Polańskich, pani Winnifred Chapman. Na widok tego co w tym dniu zastała w willi ogarnia ją szok. Z okrzykiem: „wszędzie trupy i krew" — wybiega na dwór. Zaalarmowana przez sąsiada policja przybywa natychmiast. Oto jej konstatacje:

NA PIĘTRZE willi, wynajętej za 200 tysięcy dolarów, znaleziono, z śmiertelnymi ranami zadanymi nożem w pierś i plecy, Sharon Marie Tate, aktorkę filmową. Obok również zasztyletowany, jej były narzeczony, John Thomas Sebring, lat 35. Z zawodu fryzjer osobistości Hollywoodu, liczący za jedną usługę od 20—50 dolarów. Na trawie przed domem leżały zwłoki przyjaciela Romana Polańskiego, producenta filmowego i scenarzysty, Wojtka Frykowskiego. Zginął od ran ciętych oraz kuli. Przy basenie kąpielowym, oddalonym o 80 metrów znaleziono przyjaciela Frykowskiego, 26-letnią Abigail Folger, córkę milionera — „króla kawy". Ubrana była w nocną koszulę: stwierdzono liczne rany zadane sztyletem w brzuch. Przy parkingu posiadłości odkryto 18-letniego Stevena Earl Parenta. Leżał pochylony nad kierownicą białego „ambasadora"; ręczny hamulec był zwolniony, a stacyjka wyłączona. Został zastrzelony, na twarzy zaś miał cięcia od noża.

Sharon Tate w filmie Romana Polańskiego „Nieustraszeni zabójcy wampirów".

Wstrząsają także szczegóły zbrodni. Wokół szyi żony Polańskiego, a także Sebringa zaciśnięto sznur nylonowy. Koniec sznura zwisał z belki stropowej. Głowa fryzjera zasłonięta była czarnym kapturem. Wszystkie cztery linie telefoniczne zostały przecięte. Na górnej belce przy drzwiach wejściowych widniało krwią wypisane słowo „Pigs" (świnie).

Zwiększona z 5 do 19 detektywów specjalna komisja śledcza stoi przed zagadką. „Nie mamy jeszcze żadnego śladu, same trupy" — oświadczył jeden z detektywów. Aresztowany tuż po wykryciu zbrodni, 19-letni William Garretson, pełniący w willi funkcję chłopca do wszystkiego, został po 2 dniach zwolniony. Noc, podczas której zdarzyła się ta potworna zbrodnia, spędził wprawdzie w domku położonym obok parkingu, jednak nawet 90-minutowe przesłuchanie przy pomocy detektora do wykrywania kłamstw nie mogło mu niczego udowodnić. Znaleziony w samochodzie Steven był przyjacielem Garretsona. Odwiedził go właśnie z piątku na sobotę i był u niego do godziny około 23.30. Według wstępnych wyników śledztwa zbrodnia w willi Polańskiego musiała mieć miejsce jeszcze przed północą. O tym czasie, przypomina sobie sąsiadka, pani Kott, rozległy się strzały.

POLICJA wstrzymała się od wszelkich informacji dotyczących szczegółów tej makabrycznej zbrodni. Mimo to nowojorski „Daily News" donosił: „Zbrodnia jest dziełem „Swingersa", członka owej 50-osobowej tajnej sekty, której rytuałne zebrania połączone z orgiami seksualnymi i narkotycznymi odwiedzali także Sharon Tate i John Sebring. Na poły mistyczne zgromadzenia wzbogacane są takimi rekwizytami jak łańcuchy, czarne skórzane maski i pejcze. W zaparkowanym przed posiadłością Polańskiego porsche, należącym do Sebringa, policja znalazła marihuanę i LSD.

Londyński „Daily Mirror" rzuca podejrzenie w innym kierunku: W grę wchodzą czarni ekstremiści (Black Militants), których synonimem dla znienawidzonych białych jest właśnie słowo „Pigs" — świnie.

Policja natomiast usiłuje wpaść na trop innego znajomego Garretsona. Według posiadanych wiadomości chodzi w tym wypadku o przeszkolonego w walce partyzanckiej byłego żołnierza piechoty morskiej, który zwolniony został z wojska z powodu ciężkich zaburzeń umysłowych. Zachodzi obawa, że chce on być następcą słynnych zbrodniarzy amerykańskich, takich jak Richard Speck, który zamordował osiem pielęgniarek, jak Charles Whitman, który z wieży uniwersytetu w Austin zastrzelił 16 osób, a ranił 31, czy też Arthur Davis, który z karabinu zastrzelił 5 osób.

Tragedia jaka rozegrała się w Benedict Canyon, mimo swej makabrycznej scenerii, nie jest w tym kraju czymś wyjątkowym.

Opracował: ERPE

Wędrówki futbolistów

LIBERDA CZY POKIN SOCHA?

Ryszard Świerkowski

JAN LIBERDA — świetny piłkarz, wielokrotny reprezentant barw narodowych zakończył karierę piłkarską. Pożegnano go uroczyście i wzruszająco w obecności tysięcy widzów. Z tej okazji prasa sportowa zaprezentowała sylwetkę Liberdy, przypomniała jego piękną karierę. Znamienne — w tej sportowej biografii mój szczurek dla piłkarza wywołała sprawa z pozoru drobna, zarejestrowana jak gdyby jedynie z dziennikarskiego obowiązku. Oto Liberda grał w bytomskiej Polonii przez 20 lat, tzn. był wiernym barwom klubu w czasie całej swej sportowej kariery!

Kiedy Liberda rozpoczynał dopiero piłkarską karierę, przyszedł na świat Aleksander Pokin Socha. Ma dziś chyba nie więcej niż 19 lat. Ale w porównaniu z bytomianinem jest prawdziwym globtrotterem. Grał już w drużynach Opola, Raciborza, Wałbrzycha. W żadnym klubie nie zagrzał miejsca dłużej niż rok. Rozpoczął „wędrówki po kraju" będąc jeszcze dzieckiem. Jakoś nawyki okresu dziecięcego okazały się trwałe. Niedawno kapryśny Olek skonstatował, że kolejnym etapem jego permanentnej podróży ma być Lublin, gdzie ponoć z wzajemnością oczekują nań działacze Motoru.

Liberda i Pokin Socha: piłkarze — antypody. Jakże się różnią nie tylko wiekiem i skalą sportowego dorobku! Czyżby stanowić miali symbol swoich czasów? Czy teraz z pożegnaniem Liberdy, idą odesłać do słownika wyrazów staropolskich rozczulające ongiś określenie „przywiązanie do barw klubowych"? Czyżby wpłaje Pokin Socha wyznaczały szlaki nowym wzorom?

Tak źle chyba jeszcze nie jest. A jednak? Z każdym rokiem powiększa się grono piłkarzy poszukujących nowego eldorado. Zwłaszcza przerwa w rozgrywkach obfituje w doniesienia o zmianie barw klubowych, co staje się po trosze procederem dość normalnym. Dawniej takie fakty urastały niemal do miana sensacji lub nawet nosiły znamiona skandalu. Gdzie szukać przyczyn tego nowego stanu rzeczy?

Bez wątpienia przyczyną główną jest postępująca komercjalizacja sportu. Prawie o wszystkim rozstrzyga pieniądz. Klub, oferujący lepsze warunki materialne, wygrywa w „cuglach" bój o zawodnika.

Bodźce materialne? Na pewno. Atoli nieszczęście polega na tym, iż rola aby bodźców jest nader oxybilna. Nie dopingują one do podnoszenia kwalifikacji, lecz do... zmiany barw klubowych. Żywiołowe prawo podaży i popytu wyczuwane jest instynktownie przez „niebieskie ptaki". Najwięcej żyskuje piłkarz nie mający skrupułów w zrywaniu więzi środowiskowych. Wszak za każdorazowe przejście nowy klub daje (a przynajmniej obiecuje) lepsze warunki materialne. Ponadto za przejście hojny mecenas oferuje wcale niebagatelną kwotę na „zagospodarowanie się". Czy można się więc dziwić miłośnikom „turystyki" i amatorom mamony? Wszak trudno nie ulec podszeptom diabła, zwłaszcza gdy czyni to ustami anioła.

W rezultacie mniej dba się o formę, o podnoszenie kwalifikacji, a bardziej o korzystniejsze warunki transakcji. Tak tedy w kłimacie starannie ukrywanego obsurdu, kręci się skrzypiąca, piłkarska karuzela. Absurd polega na tym, że „bodźce" materialne są w istocie antybodźcami. Ukrywane — a przez to właśnie niebezpieczne, gdyż działają w postaci widma, które straszy, niepokoi i demoralizuje.

PIŁKARZ Śląska Jakubczak, mimo świetnych warunków fizycznych, nie mógł jakoś osiągnąć poziomu, który by predestynował go do gry w pierwszej drużynie, która notabene cierpi na chroniczny brak napastników. Liczono jednak, iż może się on jeszcze rozwinąć. Stąd też mimo że siedział na ławce rezerwowych, korzystał z bardzo dobrych warunków stworzonych przez klub. Mieszkanie i pensja o wysokości nie mniejszej niż płaca dobrze zarabiającego inżyniera.

Co dawał w zamian? Właściwie niewiele. Zdawałoby się — rajskie życie. I oto nieoczekiwanie Jakubczak wyruszył w rejs do Szczecina. Tam natychmiast otrzymał mieszkanie i warunki najwidoczniej nie gorsze, niż miał we Wrocławiu. Szczecińska Pogoń skłaniała się do wyasygnowania Śląskowi niemałej sumy pieniędzy. Zarząd klubu uznał jednak, że Jakubczakowi nie należy dawać wskazówki „Nie, to nie" — powiedzieli emisariusze znad morza — możemy poczekać. W ślad za tym, Jakubczak przysłał do WKS Śląsk pismo z prośbą o określenie.

Kto tu zyskał, a kto stracił? Stracił Śląsk — to pewne: piłkarza i ewentualny ekwiwalent pieniężny. Zyskał Jakubczak: przez rok nie będzie nic robił, korzystając z uciech słodkiego życia, by po roku zagrać (lub nie) w Pogoni. Czy zyskała Pogoń? Pewno ci, będzie Jakubczakowi płacić na utrzymanie, a potem skorzysta (lub nie) z jego usług, względnie odstąpi po za spore pieniądze komuś innemu.

Bezwzględna walka o zawodników doprowadza do stałego zwiększania ich ceny. Wiadomo „w dobre czasy i kulawy osioł cenę się jak koń". Wywołuje też stan napięcia, a niekiedy wrogości między klubami. Oto przykład: wydawać by się mogło, że miejscy działacze a wrocławskim Transportowcem istnieje idealna współpraca. Niedawno Śląsk otrzymał od Transportowca utalentowanego obrońcę Struzika, dając w zamian aż trzech byłych pierwszoligowców: Weissa, Wiśniewskiego i Szukielowicza. Transakcja obustronnie korzystna, zwłaszcza dla Transportowca. Ale apetyt rośnie w miarę jedzenia. Rozochoceni działacze Transportowca usiłują skaperować następnego, potrzebnego Śląskowi zawodnika, zapewniając mu... dwakroć lepsze niż ma w Śląsku warunki finansowe, a więc sumę wręcz bajońską jak na tę klasę drużyny. Co wybiera zawodnik? Oczywiście lepsze warunki finansowe i niższą klasę. Mniej wymagające treningi. Oto — jak mówił Pawłow — „karygodność zawikłanej logiki".

INNY przykład: szary kibic współczuje Górnikowi Wałbrzych, oburzając się na Pokin Sochę i Mszycę z powodu ich nielojalności. Atoli warto zapytać — czyż działacze Górnika, przyjmując ongiś Pokin Sochę mniemali, iż poszykali anioła? Musiano by chyba dokonywać w tym klubie wychowawczych cudów, o czym zresztą z taką swadą mówił przedstawiciel Górnika na posiedzeniu wydziału ligi PZPN. Rzeczywistość jest mniej barwna. Bo oto piłkarz Śląska Tokarz, który podobnie jak Jakubczak niewiele się dla klubu napracował, a otrzymał dużo wiele, znalazł się nagle prawnego pięknego poranka w nowym mieszkaniu w Wałbrzychu. Nie wiem, czy został już sztygarem, ale obiecano mu chyba niemało, skoro Tokarz zrezygnował ze świetnych wręcz warunków, jakie miał we Wrocławiu.

Oto metody wychowawcze! I dzieje się to w ramach jednego Okręgu. Zaiste, zawodnicy musieliby być immunizowani przez jakiej niezłomnie silny, by nie ulec epidemii pieniądza rozsiewanej przez nieodpowiedzialnych działaczy klubowych. A piłkarze (przynajmniej część z nich) stawiają coraz nowe żądania, proszą o zwolnienie lub po prostu... uciekają. Ostatnio uciekli: Jakubczak z Wrocławia do Szczecina, Tokarz z Wrocławia do Wałbrzycha, Pokin Socha z Wałbrzycha do Lublina, Mszyca z Wałbrzycha do Łodzi, Banaś z Bytomia do Zabrza. Marks z Warszawy do Chorzowa... tudzież na różnych szczeblach spróchniałej piłkarskiej drabinki wielu, wielu innych.

*

Jakie jest wyjście? Otóż PZPN — miast przyglądać się biernie demoralizacji lub nawet ułatwiać tego typu praktyki (np. skrócono kadencje z dwóch na jeden rok, co zachęca do kaperownictwa) musi zdobyć się na odważne decyzje. Trzeba dokładnie określić, w jakich sytuacjach w ogóle dopuszczalna jest zmiana barw klubowych, oraz warunki transferu zawodników i przestrzegnąć je z żelazną konsekwencją.

Nie należy dłużej dopuszczać do szantażowania klubu przez sportowych sprzedawców. Nie można tolerować międzyklubowej licytacji sięgającej zgoła horrendalnych kwot. Nie możemy wreszcie doprowadzać, by pojęcie „przywiązanie do barw klubowych" stało się wyśmiewanym frazesem, a Liberda ostatnim Mohikaninem klubowej wierności.

HASŁO „Toczna"

Anna Buss

OUROKU ziemi bystrzyckiej nikogo, kto choć trochę zna Dolny Śląsk, nie trzeba zapewniać. Kiedy autobus zjeżdża z Kłodzka ku Bystrzycy oko z przyjemnością notuje otaczające miasto pasma górskie; na zachodzie Góry Bystrzyckie i Orlickie, na południu Bielawskie i najciekawszy w okolicy Masyw Śnieżnika. Wymarzona okolica do wypoczynku. Ciągną więc tu turyści masowo, bo i góry i klimat dobry, a samym miastem pogardzić nie można, bo jest nieaprzeczalną otrokcją na trasie.

Bystrzyca legitymuje się przecież XIII-wieczną metryką i znakomitymi zabytkami, z których wymienić można choćby wieżę ciśnienia z 1319 roku. I gdzie się człowiek nie ruszy w tym mieście, wszędzie wąskie kamienne schodki łączące z sobą labirynt starych, niemal włoskich uliczek.

Nic więc dziwnego, że średnio w ciągu sezonu wydeptuje 900 kamiennych, bystrzyckich schedków przeszło 150 tysięcy turystów. W gruncie rzeczy jednak turysta może być w Bystrzycy jedynie etranierem, bo w tej chwili, poza niewątpliwymi przeżyciami natury estetyżnej, miasto niewiele może zaoferować przybyszom. Baza turystyczna jest słabo rozwinięta, świadomość, że miasto dysponuje 190 miejscami noclegowymi jest świadomością co najmniej humorystyczną. A i na dobrą sprawę zjeść też nie ma w Bystrzycy gdzie, toteż turyści próbują żywić się na własną rękę wykupując w sklepach i na straganach owocowo-warzywniczych co się da. Dziwić się więc trudno, że małe, dziewięciotysięczne miasto czeka na początek sezonu turystycznego z niejakim niepokojem. Przysłowie o najazdach Hunów słyszy się tu dość często.

Ale bystrzycanie, jak przystało na mądrych i rozważnych gospodarzy, nie stoją na rogatkach swojego miasta i nie odstraszają turystów na przykład morowym powietrzem, lecz myślą jakby tu „sprzedać" najlepiej i najatrakcyjniej swoją ziemię.

Sprzedawać trzeba mieć jednak co — poza urokami geograficznymi. Bystrzyca więc zawzięła się i postanowiła dać swoim mieszkańcom i turystom ośrodek rekreacyjno-wypoczynkowy z prawdziwego zdarzenia.

Pomysł budowy ośrodka nad rzeką Toczną narodził się w roku ubiegłym, kiedy to myślano nad podjęciem godnego Bystrzycy czynu na XXV-lecie PRL.

Inicjatorem tego pomysłu był dyrektor Bystrzyckich Zakładów Wyrobów Papierowych inżynier Kazimierz Rapacz. Któregoś dnia dyrektor obejrzał jakby nowymi oczami sąsiadujące z jego zakładem dolinkę Toczny i już w marzeniach widział znakomity ośrodek wypoczynkowy.

Zamysł przedstawiony miejskim władzom partyjnym, radzie narodowej, Rady Narodowej w Bystrzycy pani Jadwigi Pytlarz, gorącej zwolenniczki budowy ośrodka, sądziłam, że powie mi o planach pięknych, lecz skromnych. W rezultacie dowiedziałam się o przedsięwzięciu imponującym.

Na 4 km kw. doliny rzeki Toczny planuje się wybudowanie akwenu sportów wodnych, basenu, plaży piaszczystej i trawiastej, hangaru na sprzęt wodny, hotelu, pawilonów gastronomicznych i sanitarnych, wejścia handlowego, boisk sportowych, ośrodka jordanowskiego dla dzieci, amfiteatru z muszlą koncertową, oczywiście dróg dojazdowych itd.

Widocznie miałam minę niewyraźną, bo pani sekretarz wezwała posiłki, które przyniosły projekty, wstępne plany i kosztorysy, nadto teczkę zatytułowaną „Toczna" pełną korespondencji, która czarno na białym potwierdzała naszą rozmowę.

Z kosztorysów wynika, że łączny koszt realizacji całego zamierzenia inwestycyjnego wynosić będzie około 26.300.000 złotych. Nieludzko to jak na takie przedsięwzięcie, ale niemało, gdy trzeba to zdobyć na własne konto. Wobec tego cała budowa ośrodka rekreacyjno-wypoczynkowego w Bystrzycy została podzielona na dwa etapy. Na pierwszy, obejmujący prace ziemne, budowę akwenu i uporządkowanie otoczenia potrzeba około 10.000.000 złotych.

Sumy przekazane na to zamierzenie przez WKKFiT, Fabrykę Wyrobów Papierowych, pieniądze pochodzące z nagrody za wygranie rywalizacji między miastami o lepszą gospodarkę „na własnym podwórku" plus deklaracje pracy społecznej bystrzyckich zakładów pracy, Huty Warszawa, Fabryki Samochodów Osobowych na Żeraniu mających dostarczyć ciężki sprzęt, deklaracje samych mieszkańców miasta pozwolą bez przeszkód przebrnąć przez pierwszy etap. O drugi też się podobno zbytnio martwić nie trzeba.

Tak więc za dwa, trzy lata ośrodek „Toczna" z całą pewnością da możliwość relaksu jednorazowo 1.500 ludziom i będzie jednym z najnowocześniejszych obiektów tego typu na Dolnym Śląsku, z gwarancją pełnego wykorzystania.

W Tymczasem zaś trwają prace nad projektami urbanistycznymi ośrodka, powierzone przez radę narodową Kołu Naukowemu Studentów Architektury.

Dlaczego nie robi się tego w żadnym biurze projektów?

Ano, przynajmniej z dwu powodów. Po pierwsze nie bardzo było komu powierzyć te prace, a po drugie studenci z architektury wykonują to w czynie społecznym dla miasta Bystrzycy.

ULICA Sempołowskiej w Bystrzycy, jak niemal wszystkie uliczki w tym mieście jest wąska, zielona, stroma i urocza. Przy niej, w Internacie Liceum Medycznego mieści się właśnie obóz naukowy studentów architektury Politechniki Wrocławskiej.

Stoły, podłogi, weranda, wszystko zarzucone tekturą, z której wykonuje się makiety zalewu i terenu doliny Toczny. Warunki bóiz to prymitywne, ale ludzie pracują zawzięcie. Aż żal im przeszkadzać. Oglądam więc plany, szkice, rysunki. Niedługo jednak, bo mały dziwaneczek zawieszony na werandzie ogłasza „fajrant". Wreszcie można porozmawiać.

Obozem opiekują się doc. dr Tadeusz Zipser z Katedry Urbanistyki, nadto światłą radą i pomocą służą studentom młodsi pracownicy naukowi mgr Wanda Kononowicz i mgr Waldemar Wawrzyniak. A w ogóle obóz nie jest liczny. Razem z pracownikami naukowymi jest 10 17 osób. Przyjechali najlepsi i najzdolniejsi.

— Nie znaleźliśmy się tu przypadkowo — mówi „kierownictwo obozu" Ewelina Hnatyszak. Wiadomy się w akcję Zrzeszenia Studentów Polskich, które w tym roku nazwało ją „Akcją 300". Liczba oznacza tu ilość obozów „społecznie użytecznych". W ubiegłym roku było ich 200. Przyniosły wiele korzyści. Studenci na zlecenie zakładów pracy i rad narodowych dokonali wielu badań, na które było szczególnie społeczne zapotrzebowanie.

Zamiary ZSP na „Lato 69" przewidywały 300 obozów „społecznie użytecznych", w gruncie rzeczy jest ich 370, a na samym tylko Dolnym Śląsku 75.

W ubiegłym roku Koło Naukowe Architektów było już związane z powiatem bystrzyckim. Studenci opracowali kolorystykę ciągów ulicznych: Okrzei, Starobystrzyckiej i Kościelnej. Tego lata cieszą już oczy realizacją swych propozycji.

Wtedy też, pracując nad restauracją elewacji miejskich zdążyli się zaprzyjaźnić bokoyłem „Tocznej". Przeprowadzili więc wstępne badania terenu, a potem, w ciągu roku akademickiego pracowali nad projektami. Tegoroczny obóz kontynuuje podjęte przed rokiem zadania, czyli prace nad urbanistyką i małą architekturą całego przedsięwzięcia inwestycyjnego. Gros tych zadań zostanie wykonane na obozie, resztę zrobi się między regulaminowymi zajęciami na uczelni, część w dwu pracach magisterskich podjętych na Wydziale Urbanistyki.

Sukcesywnie realizuje się plan pracy społecznie zadekarowanej, pracy, której wartość przekracza niebagatelną sumę 70.000 złotych.

KIEDY wracaliśmy z wizji lokalnej doliny Toczny ktoś przypomniał znamienne słowa ogłemastowlecznego racjonalisty Stanisława Staszica patronującego tegorocznej „Akcji 300": „Nauki i umiejętności dopiero stają się użytecznymi, gdy są w praktyce do użytku publicznego stosowane".

I wtedy wszyscy wiedzieliśmy, że wcale nie są irracjonalne rysunki Tadka Dorożińskiego, który w powietrzu, nie bacząc na ciężki od kłosów łan pszenicy, wysoką trawę na łące i niezbyt optymistycznie wyglądjące rzeczki, kreślił nam zaporę, baseny, hotel a nawet ogródek skalny.

Nauka sprawdziła swą wartość w materialnej, publicznie użytecznej rzeczywistości.

Hasło „Toczna" przestało istnieć w sferach marzeń mieszkańców Bystrzycy. Weszło, dzięki jednomyślności wszystkich społecznych wysiłków, w życie.

Bystrzyca Kłodzka. Fot. T. Szwed

PIŁKARSKA KARUZELA

Kibic Śląska od dawna już przywykł do tego, iż szuka lokaty swej drużyny, „lustrując" najpierw dolne rejony tabeli. W towarzyszkie Górnika Zabrze i Legii nie było to jeszcze tak gnębiące. Gorzej teraz, gdy towarzyśwo nie jest już tak dostojne, natomiast lokata pozostała niezmienna. Reminiscencje niewesołe — albowiem Śląsk ma zaledwie o jeden punkt więcej od ostatniego w tabeli Włókniarza i aż o siedem mniej od pierwszego ROW-u. Nie wpadajmy wszakże w skrajny pesymizm, jako że (tym razem wyjątkowo) rzeczywistość jest gorsza niż potencjalne możliwości, bo wrocławianie mają zaległy mecz na własnym boisku. W ogóle niewesołej sytuacji jest druga dolnośląska drużyna, niekwiatowy pretendent do I ligi — wałbrzyski Górnik. W trzech spotkaniach przed własną publicznością stracił już trzy punkty.

Niedobrze jest zatem na drugorzędnym froncie obserwowanym przez dolnośląską fortetkę. Na szczęście tyrwać z końca tabeli nie zwiększają dystansu zbyt szybko. Miejscowa Stal ugięła się pod strzałami wojskowych z Bydgoszczy, a w derbach Kodzicka, jakby pod dyktando powiedzenia: „wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi", outsider Włókniarz ujawnił słabe strony ŁKS-u przegrywając zaledwie 3:4. Tylko na ROW-ie potykają się wszyscy, nawet wówczas, gdy ten ma „sześć wyjazdową", jak np. ostatnio w Lublinie.

Śląsk po kolejnej wywrotce w Raciborzu w niedzielę wypoczywał. Czy relaks ten wyjdzie mu na zdrowie? Obyć chciałaże najdłuższy wyjazd do Rzeszowa. W niczym nie przypomina bezkrzyżowy okazały. Tym niemniej ciągle jakoś wierzę, iż Śląsk stać na wyczyn najrudniejszy (oczywiście w drugoligowym wymiarze). Wszak przed trzema miesiącami, w pierwszoligowych wowczas szrankach, Śląsk po dramatycznym pojedynku pokonał w Rzeszowie ROW, prolongując nikłą nadzieję na pozostanie w ekstraklasie, a równocześnie pogrążając definitywnie zrozpaczonych gospodarzy.

Śląskowi przydałby się wreszcie dobry wynik. Mógłby on stać się psychologicznym spoiwem drużyny, a może by też zmienił „mroźny" klimat wśród sympatyków tego zespołu. W ogóle wydaje mi się, że czas na poważną, publiczną dysputę działaczy i kibiców nad drogami odrodzenia, a ściślej budowania silnego futbolu we Wrocławiu. Budowania — bo nigdy nie było z tym za Odrzą. Wizjonerie realów jest początkiem mądrości. Powiedzmy więc prawdziwie i odważnie, iż do I ligi wieszliśmy trochę fuksem, a już na pewno nie drogą trwałych inwestycji i wielkiego wkładu wysiłku społecznego i materialnego. Mówiąc szczerze, ten uśmiech losu zdezorientował niektórych entuzjastów i protektorów piłki nożnej. Zaczęli oni coraz więcej wymagać, nie lub prawie nic w zamian nie dając.

Myślę więc, że narada, zaproponowana wreszcie niedawno przez mgr mjr Zdzisława Trochę, powinna być próbą odpowiedzi: na co może i powinien zdobyć się Wrocław, czego oczekujemy od tych, którzy mogą to nieco dla sportu zdziałać, by w mieście tym mieć futbol na wysokim poziomie?

Ale wróćmy do dni najbliższych. Układ spotkań niedzielnych zachęca do walki i wzmaga apetyt na punkty. Oto ŁKS jedzie do Ustki, która sygnalizuje wysoką formę, toteż łodzianie mogą wrócić z Raciborza na laurach. Zawiera wyjeżdża do nieobliczalnej Arkonii, z którą schadzka wypadała dotychczas nie najlepiej. W razie niepowodzeń czołówki, przy jednoczesnym sukcesie Śląska w Rybniku, kondzi z górą tabeli byłby nawiązany. Górnik Wałbrzych tylko pozornie ma łatwy mecz. Łódzki Włókniarz to twarda sztuka. Drużyna przegrywająca w tym meczu, przejąć może niechlubne miano czerwonej latarni.

Byss.

Na łamach prasy

TYGODNIK „Film" zamieszcza „Karnki z kalendarza" pióra J. Toeplitza. Pod datą 27 sierpnia 1919 mieści się tytuł „Początek epoki". Ta krótka pozycja jest tak ciekawa, że warto przytoczyć obszerniejszy fragment. Toeplitz opiera się na wspomnieniach S. I. Gurowa, który wtedy był słuchaczem wojskowej szkoły na Kremlu i pełnił warte w sali Jekaterinowskiej. Sala była pełna ludzi, na ścianie rozwieszono płótno, a naprzeciw znajdował się budzący zainteresowanie aparat projekcyjny.

„Obok ekranu znajdowała się prowizoryczna trybuna na podwyższeniu, na które prowadziły dwa stopnie, ustawiono stół i kilka krzeseł. Po sali poszedł szept, że przed wyświetleniem filmu zabierze głos Lenin. Nagle i niespodziewanie wyrosła nad stołem znana postać. Nikt nie zauważył, kiedy i z której strony pojawił się na sali. Powitały go długie, niekończące się oklaski. Zatrzymał je dopiero ruch ręki mówcy, jakby trochę zniecierpliwiony, i jego pierwsze słowa. Podziękował za znaczenia i wodze społecznej kina, jako potężnego, jedynego w swoim rodzaju instrumentu krzewienia kultury wśród szerokich mas.

S. I. Gurow spisał swoje wspomnienia dopiero w roku 1956 i nie podaje ani dokładnej daty pokazu kremlowskiego, ani jego programu. W pamięci utkwił mu nastrój odsłuchiwego zebrania, pierwsze spotkanie z Wodzem Rewolucji i jego słowa o roli filmu. Nie wiemy, czy to się działo przed czy po 27 sierpnia 1919 roku, przed czy po historycznej dacie podpisania Dekretu o nacjonalizacji kinematografii w Związku Radzieckim. Ale w tym fragmentarycznym, niepełnym zapisie, istotne jest to, że kierownik państwowej nawy znalazł czas, by w trudnych brzemiennych w wydarzenia miesiącach, przyjść na pokaz i przemówić do zebranych, zwracając tu uwagę na znaczenie filmu. Wydawać by się mogło, że sprawy kinematografii były czymś nieważnym w zestawieniu z walką na śmierć i życie, jaką prowadziła młoda socjalistyczna państwo o zachowanie zdobyczy Rewolucji. A jednak – były to ważne zagadnienia nie pozostawały niedostrzeżone.

Dekret o nacjonalizacji kinematografii był przejawem troski państwa o kulturę, a nie posunięciem natury gospodarczej czy administracyjnej. Nie chodziło tu o przejęcie zysków z prywatnych przedsiębiorstw filmowych i nie o „czerwonogwardyjski atak" – jak mawiał Lenin – na prywatny kapitał. Te czynniki grały wtórną, drugoplanową rolę. Ważne było to, by obrazy przemawiające z ekranów do myśli i uczuć milionów osób służyły dobrej sprawie, by wychowywały i kształciły, a nie, jak to się wówczas działo, demoralizowały i ogłupiały".

T. Rycerski w magazynie turystycznym „Światowid" zamieścił artykuł pt. „Światło zaledwie żółte". Jest to relacja z krótkiego objazdu miejscowości na Pomorzu Szczecińskim, gdzie autor przyjął się campingowi. Nie jest to zbyt wesoła relacja. W artykule znalazły się też wnioski:

„Bez trudu można stworzyć geografię campingową Polski, wskazać na regiony lub po prostu miejsca, gdzie koncentrują się skupiska namiotów. Wszystkim, którzy mnie o to poprosza, mogę dać punkty, gdzie lokalizują sobie obozowiska turyści przybywający do Dziwnowa i Świnoujścia. Międzyzdrojów i Kamienia Pomorskiego, Wolina i Wisełki. Sądzę, że znane są te i inne miejsca turystom, działaczom komitetów kultury fizycznej i turystyki, Polskiej Federacji Campingu, organizacji turystycznych, – np. PTTK, LZS obojętnie gdzie – na Mazurach, Podtatrzu, w Bieszczadach i w Górzach Bialskich. Tam właśnie powinny się tworzyć zalążki przyszłych obozowisk, najpierw jako pola biwakowe, potem jako campingi już z prawdziwego zdarzenia, z ciepłą wodą, spłukiwanymi ustępami, świetlicami, kioskami, barami itp.

Tymczasem u nas patrzy się na camping jako na coś, co dopiero ma powstać, podczas gdy jest on już faktem oczywistym.

Jak dotąd jednak gospodarze miast, regionów nie doceniają sprawa lokalizacji najprostszej, najtańszej bazy noclegowej, jakim jest camping, spraw kultury ludzi przebywających na ich terenie. Jeśli mówiliśmy o zielonym świetle dla campingu w Polsce, o równorzędnym traktowaniu campingu, zorganizowanego i dzikiego (byle tylko był uprawiany w sposób kulturalny) przez Polską Federację Campingu, to trzeba stwierdzić, że dotychczas zapalone jest co najwyżej światło żółte. Jest to, jak wiadomo, światło ostrzegawcze. Pora na zmianę kolorów".

plastyka

MALARZ Z GRUPY TRZECIEJ

PAWIEŃ wrocławski doktor matematyki podzielił malarzy na cztery grupy: pierwsza – malarze bez talentu, którzy wyczuli konkurencję, stali się współzawodnikami drugą – malarze z talentem, którzy tworząc nowe wartości pracowali w odosobnieniu, tych rehabilitowała dopiero przyszłość; trzecia grupa to malarze, którzy wystawiają, tworzą, mocą się z wizją malarską i nie są sławni ani współcześnie ani nie będą w przyszłości – jeżeli należy ich podziwiać to jedynie za upór, za oddanie się sztuce, za wiarę w wielkość sztuki i wreszcie czwarta grupa, najmniej liczna, malarze, którzy mają talent, powodzenie, uznanie, obrazy ich są kupowane przez muzea i inne placówki kulturalne. Najbardziej nie cierpię grupy pierwszej. Znam wielu malarzy nawet ze środowiska wrocławskiego, którzy startowali przed „Arsenałem". Znam ich próby malarstwa „figuratywnego". Jedynie co zmuszało do zastanowienia w tych „dziełach" to gruba warstwa farby – jej sposób nałożenia. Wpowiedzie dozwoli od nowoczesności. Zocalli eksploatował jedną wartość formalną punkt, linię – budować obrazy w konwencji wcale nie nowoczesnej bo opracowanej już przez Mondriana, rozwiniętej przez genialnego Władysława Szesnińskiego. Nie wnieśli do sztuki nic nowego, ale za to wnieśliśmo ich obrazy do Galerii Sztuki Współczesnej.

Stefan Puszek-Komorowski starował przed „Arsenałem". Ukończył studia we wrocławskiej PWSSP. Bierze udział w wystawach ogólnopolskich i okręgowych. Miał też pięć wystaw indywidualnych. Malarstwo jego nie jest samodzielne. Znać u niego łatwość „podchwytywania" konwencji innych malarzy. Klimat jego obrazów jest ponury, nie wynika to jednak z kompozycji opracowanej przez artystę, ale z nieporadności operowania kolorem. Wartością malarstwa Puszka – Komorowskiego jest umiejętność ujęcia portrelowego. Najlepiej udaje mu się to kiedy operuje jednym kolorem. Mimo starannej i możliwie przejrzystej kompozycji wystawy zorganizowanej przez BWA nie dała się ledwo uniknąć monotonii. Artysta wystawił obrazy, które nie powinny się znaleźć na wystawie, te wymienia tylko klasa i Portret talmiera. Ale czytający. Półek. Gazda. Rybak. Uwałom i dalej pod rozwagę czynnikom kompetentnym czy nie należałoby przed otwarciem wystawy na zasadzie jakiegoś rozsądnego wywołania miary artysta a organizatorem robić selekcję obrazów prezentowanych do ekspozycji. Byłoby to z pożytkiem dla organizatora i dla samego artysty. Występuje w interesie odbiorcy. Biuro Wystaw Artystycznych zostało powołł przekształcone w skostniałą instytucję wystawienniczą podległą Związkowi Polskich Artystów Plastyków, który dyktuje program wystaw artystycznych, wystaw malarzy nie zawsze koniecznych prezentowanie odbiorcy. Biuro, formalnie rzecz biorąc, nie na tym nie traci. Wystawa się odbyła, kilku widzów oglądnęło, w zeszycie zostało kilka wpisów. Stracił jedynie konsument. Stracił ten, dla którego powołano do życia Biuro, dla którego twórzą artyści.

Obrazy olejne Puszka – Komorowskiego noszą ślady uporczywej pracy artysty nad warstwą malarską, która jest dla niego trudna. Nie ma w nich sterokich i pewnych, mistrzowsko czynionych podejmiel pędzla. We wnętrze obrazów nie ma światła – nie jest to oczywiste, rarsut – jaką konwencję przyjął malarz artysta. Nie ma też wywołania w kompozycji przez co staje się ona sztuczna, niekiedy groteskowa. Należy jednak cenić artystę za upór z jakim pracuje nad modelem, nad sposobem tego ujęcia, co daje poszukiwania własnej wizji świata.

Artysta pracuje samodzielnie. Nie przystąpił do żadnej szkoły, nie plastuje wyraźnie jakiejś konwencji czy programu. W odosobnieniu, rzec by można tu jest samotnikiem. Wpatrzony w wewnętrzny, nie najweselszy świat stara się go zawrzeć w monochromatycznej gamie, w gestej warstwie malarskiej. Może jego świat przedstawiony w ramkach obrazów jest odzwierciedleniem trudnych kolei jego losów. Puszek – Komorowski należy do tych artystów, których należy oceniać łonymi kategoriami – nie zrewolucjonizował on sztuki ani programem ani realizacjami, ale przeduło ciągle jeszcze tywotny nurt w sztuce polskiej ciągnący czasów realizmu i rozkwitu kolorystyku.

STANISŁAW PASTERNAK

wiadomości o książkach

PAMIĘĆ POKOLEŃ

WOJENNE losy naszego narodu zamknięte datami 1939–1945 doczekały się już wielu opracowań naukowych, literackich, publicystycznych i pamiętnikarskich. Bohaterskie dzieje tych lat najtragiczniejszych przez długi jeszcze czas owocować będą z pewnością nowymi publikacjami wydawniczymi, z których uczyć będziemy młode pokolenia miłości Ojczyzny, z których czerpać będziemy najlepsze patriotyczne tradycje. I to jest słuszne. Nie wolno zapomnieć lat najbardziej dla ogółu Polaków bolesnej próby, lat, w czasie których zdawaliśmy egzamin patriotyzmu, bezwzględnego poświęcenia, bohaterstwa.

Tragiczny Wrzesień 1939. Westerplatte. Modlin. Warszawa. Wymowne symbole powszechnej woli walki i bezwzględnego oporu. Czterotygodniowa obrona Warszawy, prowadzona przez prezydenta miasta Stefana Starzyńskiego, który tak oto mówił przez radio w dniu 25 września 1939 roku: „Dzisiaj Niemcy wystrzelili na Warszawę dziesięć wagonów amunicji. Możecie „cholery, wystrzelać dziesięć razy więcej, a Warszawy i tak nie zdobędziecie, gdyż nic nie jest w stanie złamać ducha naszego oporu. Po raz ostatni odzywam się do naszych sojuszników. Już nie proszę o pomoc. Na to już nie czas. Żądam pomsty. Za spalone kościoły, za zniszczone zabytki, za łzy i krew niewinnie pomordowanych, za mękę rozrywanych bombami, palonych ogniem pocisków fosforowych, uduszonych w zawalonych schronach i piwnicach. A wy zbrodniarze, barbarzyńcy, którzy napadliście na nasz kraj, niosąc z sobą pożogę i śmierć, wiedzcie o tym, że istnieje sprawiedliwość, że istnieje sąd, przed którym wszyscy stanąć musimy, aby zdać sprawę i ponieść odpowiedzialność za nasze czyny." To właśnie przemówienie Starzyńskiego cytuje w swojej książce „Warszawa walcząca" Lestaw M. Bartelski. Książka wchodzi w skład serii Wydawniczej „Biblioteka Pamięci Pokoleń", wydawanej przez Książkę i Wiedzę z inicjatywy Rady Ochrony Pomnników Walki i Męczaństwa.

Serię tę zapoczątkował Zbigniew Fitkowski pracą pt. „Tu na Westerplatte", w której autor ukazuje nam sytuację polityczną przed 1 września 1939 roku i kilka szczegółowo historie siedmiu pierwszych dni wojny, kiedy to 182 żołnierzy polskich na Westerplatte stawiało opór sile 4000 żołnierzy niemieckich wspieranych artylerią i lotnictwem.

Obrona Westerplatte jest również tematem książki Kazimierza Radowicza „Kawalerowie Virtuti", opublikowanej przez Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej. „Wrześniowa noc" Jana Parandowskiego to zbiór szkiców poświęconych przeżyciom okupacyjnym autora. Najpiękniejsze, najbardziej wzruszające szkice to „Ropiołty", „Szparagły" i „Ville d'eau Trebliński". Inny znów moment wrześniowy i okupacyjny ukazuje nam książka Ryszarda Zielińskiego „Wrześień pod Karpatami", która ukazała się w MON-owskiej serii „Bitwy-Kampanie-Dowódcy".

Zaś tym wszystkim Czytelnikom, którzy chcieliby w sposób bardziej szczegółowy przestudiować dzieje polskiego Września 1939 – polecam dwie prace Wojskowego Instytutu Historycznego: „Wojna obronna Polski 1939" – wybór źródeł zebranych i opracowanych przez zespół pod redakcją Eugeniusza J. Kozłowskiego, oraz wybór dokumentów wojskowych w opracowaniu Mieczysława Cieplewicza „Obrona Warszawy w 1939 r.", jak również wydany przez Zakład Historii Partii przy KC PZPR tom pt. „Czas wielkiej próby". Są to wspomnienia bojowników o Ojczyznę Ludową w latach 1939 – 1945.

ALICJA KASIEWICZ

ROK JUBILEUSZOWY

OSMEGO września br., uroczystym 672 przedstawieniem „Halki" Moniuszki Opera Wrocławska rozpoczęła jubileuszowy, 25 roku swojej działalności.

W minionych 24 latach Opera nasza wystawiła ponad 90 premier, w tym 28 baletów, które w 5.555 przedstawieniach obejrzało około 3.300 tys. widzów. Naczelną troską w tym okresie było nie tylko udostępnienie i przyswojenie najszerszym kręgom widzów i słuchaczy najcenniejszych arcydzieł z bogatego skarbu światowej muzyki operowej, ale również popularyzowanie najciekawszych oper i baletów z naszego narodowego repertuaru. Często podejmowano ryzyko wystawienia na naszej scenie dzieł niesłusznie zapomnianych, albo w ogóle nieznanych jeszcze polskim widzom i słuchaczom.

Wśród ponad 20 polskich prapremier znalazły się między innymi: Tadeusza Szeligowskiego „Pawie dziewczęta", „Bunt żaków", „Teodor gentleman"; balety J. Szajnowa-Lewandowskiego „Pinokio", „Popwanie w Tiutiurlistanie", „Czerwony mak" R. Gilera, „Pietruszka" I. Strawińskiego, „Don Kichot" L. Minousa, „Joanna d'Arc" N. i Polko i „Szeraszeń" A. Spadavecchii.

W Jubileuszowym sezonie Opera Wrocławska zamierza przedstawić miłośnikom muzyki operowej i baletowej takie utwory jako: „Stara baśń" – W. Żeleńskiego, „Pomsta Jontkowa" – B. Wallek Walewskiego, „Baron cygański" – J. Straussa, „Pajace" – R. Leoncavallo, „Rycerskość wieśniacza" – C. Mascagniego i „Dzwonnik z Notre-Dame" – C. Pugniego i R. Gilera.

Koncert w wykonaniu Filharmonii Wrocławskiej. N/z od lewej: soliści Adele Stolte (NRD), Anna Ricci (Hiszpania), Eugeniusz Sąsiadek i Jerzy Artysz. Dyrygent Stanisław Krukowski.
Fot. Tadeusz Szwed

„WRATISLAVIA CANTANS" 1969

Ryszard Bukowski

IV WROCŁAWSKI Festiwal Oratoryjno – Kantatowy dobiegł końca. Jestem pełen wrażeń. Wzruszenia, zachwyty, rozczarowania splotły się w jeden przedziwny obraz artystycznego przeżycia.

Nie sposób omówić każdej pozycji – każdego elementu składającego się na to dorocznie święto Wielkiej Muzyki. Na ogół jest tak, że pamięć zdrowego psychicznie człowieka zachowuje raczej to wszystko, co było piękne, dobre – co dawało najwięcej satysfakcji wewnętrznej. O tych właśnie stronach festiwalu wrocławskiego pragnę mówić.

Festiwal zainaugurowało monumentalne dzieło J. S. Bacha „Pasja wg. św. Jana". Kompozycja ta obok „Pasji wg. św. Mateusza" i „Wielkiej Mszy h-moll" stanowi czołowy dorobek Bacha w dziedzinie wielkich form oratoryjno-kantatowych. Mimo, że pisana w czasach młodości kompozytora, jest świadectwem mistrzostwa jej twórcy w niebywałego kunsztu prowadzenia faktury polifonicznej. Jest ona przykładem „czystej muzyki", która niezależnie od tekstu słownego stanowi sama w sobie arcydzieło. Wykonanie w zasadzie nie budzi specjalnych zastrzeżeń. Zarówno Chór Filharmonii Narodowej (przygotowane przez Romana Kubkiewicza) jak i Orkiestra Filharmonii Wrocławskiej pod dyrekcją Andrzeja Markowskiego przygotowane były bardzo starannie – choć efekty tej pracy nie zawsze trafiały właściwie do słuchacza ze względu na niezbyt dobre warunki akustyczne kościoła Garnizonowego. Na specjalne wyróżnienie zasługiła Adele Stolte (NRD) oraz Max von Egmond (Holandia), których muzykalność i wrażliwość artystyczna budziły największy podziw.

Są dzieła przedziwne i dyskusyjne. Do takich należy Carl Orffa „Carmina Burana". Nie istnieje w zasadzie żadna ustalona opinia odnośnie tego utworu. Jedni uważają „Carmina" za utwór tandetny, obyczajowo, efekciarski – inni za dzieło doskonałe, pełne ekspresji i tempo. Ja, przyznaję, miałem szczęście – choć efekty tej pracy nie zawsze trafiały właściwie do słuchacza ze względu na niezbyt dobre warunki akustyczne kościoła Garnizonowego. Na szczególne wyróżnienie zasługiła Adele Stolte (NRD) oraz Max von Egmond (Holandia), których muzykalność i wrażliwość artystyczna budziły największy podziw.

Są dzieła przedziwne i dyskusyjne. Do takich należy Carl Orffa „Carmina Burana". Nie istnieje w zasadzie żadna ustalona opinia odnośnie tego utworu. Jedni uważają „Carmina" za utwór tandetny, obyczajowo, efekciarski – inni za dzieło doskonałe, pełne ekspresji i tempo. Ja, przyznaję, miałem szczęście do tych ostatnich i nie wstydzę się tego! „Carmina Burana" to bardzo dobry utwór – i wbrew pozorom – pełny wewnętrznego napięcia, oddającego nastrój i nastrojów ludzkich środków. Co jednak jest najważniejsze – będący doskonałym i pełnym powiązaniem tekstu słownego z muzycznym. Zgodzę się tylko z jednym, że dzieła Orffa można wykonywać tylko doskonale – lub nie należy wykonywać ich wcale. Chór i Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Drezdeńskiej pod batutą Kurta Mazura (NRD) podała nam „Carmina" w doskonałej interpretacji. Podziwiałem niemal idealne zespolenie pasji wykonawczej z żelazną dyscypliną chóru i orkiestry. O taką właśnie dyscyplinę modlę się bezskutecznie w naszych zespołach). Na szczególne wyróżnienie zasługują Ute Mai (sopran) oraz Karl-Heinz Stryczek (baryton).

Dyryguje Andrzej Markowski
Fot. Tadeusz Szwed

Z koncertu symfonicznego prowadzonego przez Stanisława Krukowskiego niewątpliwie na uwagę zasługuje stosunkowo niedawno napisana „Mała Liturgia Prawosławna" Romualda Twardowskiego. Kompozycja ta posiada, moim zdaniem, trzy podstawowe zalety: zwartość, oszczędność w użyciu środków wyrazowych oraz przejrzystość faktury. W przeciwieństwie do nudnej niekończącej się „Świtezianki" M. Rimskiego – Korsakowa, „Liturgia" Twardowskiego rozwijała się logicznie, stwarzała klimat adekwatny z założeniem tekstu słownego – obfitowała w ciekawsze rozwiązania kolorystyczno-rymiczne. Wykonana była bardzo dobrze i dzięki temu dotarła do słuchacza chyba w najlepszej postaci. Jest to niewątpliwa zasługa Stanisława Krukowskiego i całego zespołu wykonawców.

ZOSTATNIEGO koncertu festiwalu wymienię dwie pozycje, a mianowicie: Kazimierza Serockiego „Niobe" oraz Witolda Lutosławskiego „Trzy poematy Henri Michaux".

Obie pozycje stanowią wybitny wkład do polskiej literatury kantatowej. Obie reprezentują bardzo wysoki poziom warsztatowy – choć każda z nich stoi na innym gruncie. Serocki odczytał z wybranych fragmentów tekstu poematu Gallicańskiego nastrój – Lutosławski zaś wyrazowość brzmienia tekstów. Ta pozorna mała różnica podejścia u obu kompozytorów postawiła omawiane kompozycje na przeciwległych biegunach. Muzyka Serockiego była przede wszystkim ilustracyjna (na szczęście nie dosłowna) – Lutosławskiego „brzmieniowa". Abstrahując od tego, które z założeń bardziej mi odpowiada – obie kompozycje pozostawiły niezatarte wrażenie dzięki doskonałemu wykonaniu przez Chór i Orkiestrę Polskiego Radia i Telewizji w Krakowie pod dyrekcją Krzysztofa Missony i Witolda Lutosławskiego oraz solistów Zofii Rysiówny, Leszka Herdegena. Jedynym niepowodzeniem było wykonanie kantaty „Gołębica" Stanisława Wiechowicza, która aż długo leciała – wzbić się do wyższego lotu – nie mogła – co raczej przypominało lot utuczonej gęsi.

W ramach festiwalu odbył się „Wieczór ballad". Doskonałymi wykonawcami tego arcytrudnego genre byli: Anna Ricci (niepotrzebnie obsadzona także w „I Litanii Ostrobramskiej" Stanisława Moniuszki), Eugeniusz Sąsiadek oraz Max van Egmond.

Występ Chóru Chłopięcego „Ąžuoliukas" (Litewska SRR) pod dyrekcją Jouzasa Domarkasa dał świadectwo dobrego poziomu i wrażliwości muzycznej – choć prezentowane na koncercie utwory nie angażowały zbyt słuchacza.

MOŻNA chyba stwierdzić z całym przekonaniem, że IV Wrocławski Festiwal Oratoryjno-Kantatowy był imprezą udaną. Przyszłość tych festiwali będzie zapewniona – jeśli jeszcze większa staranność przeprowadzi się selekcję prezentowanych utworów – jeśli z większą wnikliwością będzie obsądzało się solistów zgodnie z ich najlepszymi możliwościami – jeśli wreszcie, kosztem nawet liczby słuchaczy, zrezygnuje się z mało akustycznego wnętrza kościoła Garnizonowego na rzecz innego pomieszczenia.

I jeszcze jedno: Nie zawsze dobre jest to – co nie jest z Wrocławia. Dziwi mnie fakt powierzenia opracowania programu i wyższenia odczytów (związanych z festiwalem) jedynie naszkiem znoza Wrocławia. Czyżby we Wrocławiu nie było nikogo, kto mógłby cokolwiek powiedzieć o polskiej twórczości oratoryjno-kantatowej? Czyżby „kompleks prowincji" kierownictwa artystycznego wrocławskich festiwali?

Nietoperz poluje w mroku

„Pierwszy raz byłem karany w 1986 roku i od odbycia pierwszej kary do chwili aresztowania pracowałem uczciwie ciesząc się wszędzie dobrą opinią. Po prostu sam nie wiem, jak to się mogło stać, że ponownie wszedłem w kolizję z prawem".

*

W czterech sąsiadujących z sobą powiatach: złotoryjskim, legnickim, lubińskim i bolesławieckim od 1985 do końca kwietnia 1989 roku częstym tematem rozmów wiejskich społeczności były sensacyjne kradzieże dokonywane — nie wiadomo przez kogo — ale zawsze nocą, niezmiennie tą samą (bardzo zresztą prostą) metodą, bezszelestnie i bez jakichkolwiek śladów, które mogłyby pomóc w ustaleniu sprawców, ginących jak kamienie w wodzie tuż za progiem okradzionych domów, instytucji wiejskich, kościołów. Dziesiątki dziesiątków osób przesłuchiwanych w charakterze poszkodowanych i świadków w zakończeniu protokołów MO stwierdzało z całą pewnością: „nie, nie wiem, kto to mógł być, nie podejrzewam nikogo ze znajomych mi osób. Nikt podejrzany nie kręcił się w pobliżu, nikt taki nie „zasięgał języka" o sąsiadach...".

A jednak złodzieje doskonale wiedzieli do kogo, gdzie i kiedy wpaść. Znali domowe i rodzinne zwyczaje, rozkłady mieszkań, ich wyposażenie. Równie ściśle zresztą informacje i topografia odpowiedzi się do biur gromadzkich, PGR-ów, świetlic i klubów-kawiarni.

Podekscytowani gospodarze co kilka dni mieli nowy temat.

— Dziewczyna położyła się wieczorem spać pod pierzyną, a obudziła się w nocy zmarznięta bez przykrycia. Myślała, że to matka zrobiła jej kawał za to, że dość późno wróciła z zabawy do domu, ale nie... Pierzyna ulotniła się jak kamfora.

— Fronczakowa z Łukaszowa wzięła z OSM w Chojnowie prawie 30 tysięcy za odstawione przez rolników mleko. Zdążyła wypłacić jedną trzecią tego samego dnia, a resztę, w torebce wieczorem zabrała do sypialni na pierze i schowała pod łóżkiem. Ani ona, ani mąż nie nie słyszeli, a nad ranem zobaczyli, że cały dom jest otwarty na oścież i torebki pod łóżkiem brak. Znalazła ją zresztą — pustą — w polu, koło zabudowań Gawrona.

— U tego Gawrona też byli tej nocy. Zabrali mu radio i portmonetkę z pieniędzmi.

— Dyrektorowi PGR w Ernestynowie dwie noce później wyniesiono przez okno biurko i zasłony okienne...

— A Ziembickiemu z Gierałtowca telewizor i trzy zegarki.

— Miłkowej z Wojciechowa na dziesięć tysięcy wynieśli odzieży i pieniędzy...

— U jednego w Niedźwiedzicach — telewizor...

— Z kościoła w Olszanicy — dywany...

— Wadeckiemu z Białej maszynę do robienia swetrów, a z PGR-u fotel, maszynę do liczenia i kaski dla motocyklistów.

— Maszynę taką też wzięli z GRN w Gierałtowicach. I jeszcze drogie, perskie dywany...

— Z klubu-kawiarni i świetlicy w Lubiatowie — telewizor.

— Od leśniczego w Jaroszówce — nowy radioodbiornik.

— Gospodarzowi z Siedliska — całego świniaka zawekowanego w słoje, szynki...

— Kto by tam zliczył to wszystko, w co się złodzieje „pobrali", obiowili!

Rzeczywiście — zliczyć trudno. Ginęły setki przedmiotów, z reguły wartościowych, ale złodzieje — sądzono powszechnie, że jest to cała, dobrze zorganizowana szajka — nie gardzili i drobiazgami. Brali po prostu wszystko, co wpadło im w ręce: rowery, maszyny liczące i do pisania, telewizory i radia, części do samochodów i motocykli, zegarki, biżuterię, budziki, pieniądze, maszynki do golenia i strzyżenia, odzież — począwszy od drobnych dzieci bieliźny osobistej — do płaszczy; zakrycia stołowe, serwisy, obrusy, pościel, bieliznę pościelową oraz stołową, włóczkę w motkach, dywany, firanki, buty, wózki dziecięce, żelazka i meble, ale także: zabawki, lalki, krawaty, chustki, siatki na zakupy, koszyczki, wiadra ze smalcem, kawałki kretonów, reczniki, pieczątki firmowe, słodycze, długopisy, pióra wieczne, jajka w kobiałce...

— To jakaś silna grupa — mówili ludzie. — Że też takiej milicja nakryć nie może!

Rosły sterty „notatek służbowych na okoliczność włamania". Mnożyły się protokoły przesłuchań, ekspertyzy i badania odcisków palców znanych w okolicy „elementów o ujemnej opinii" — wszystko na nic. Zaden z „elementów" w rachubę nie wchodził, a zabezpieczone ślady palców w okradzionych domach — należały do ich właścicieli i domowników. Jedno po drugim więc dochodzenie umarzano z powodu nieujęcia sprawców. Chytrych, przebiegłych, obeznanych z techniką śledczą, zaopatrzonych w rękawiczki i dobre aparaty do cięcia szkła. We wszystkich niemal przypadkach do wnętrza domów, biur i świetlic dostawali się przez wycięcie kawałka szyby w oknie na parterze. Potem okno cicho otwierali, wchodzili przez nie, załatwiali bezgłośnie „swoje sprawy" i wychodzili spokojnie od wewnątrz otwartymi drzwiami. W pobliżu czekać musiał zamaskowany samochód. Bo jak np. wywoziłby meble, telewizory i inne, równie nieporęczne przedmioty?

Tak sobie wszyscy przy piwku w gospodzie lub — żeby bardziej elegancko było — przy małej czarnej w klubie-kawiarni spekulowali. I nie wiedzieli, że się z gruntu mylą, że żadnej zorganizowanej bandy złodziejskiej nie było.

A kiedy, przypadek — po przeszło czterech latach — pierwszego z zanotowanych włamań — zdarzył, że ujęto obrotnego złodzieja, ludzie wzięli się za głowy!

— Patrzcie! I kto by to pomyślał! Miał taką dobrą opinię, przymówało się go jako osobę urzędową, uczciwą...

*

Wynajmował z rodziną (żona i troje dzieci) mieszkanie w Studnicy (pow. Złotoryja). Reprezentował powiatowy urząd — Państwowy Zakład Unasienniania Zwierząt w Legnicy i zaliczany był do szanowanej grupy wiejskiej inteligencji. W 1962 roku swe rodzinne stadło zakładał z niczego. Nie wiodło mu się w życiu. Nauka — coraz w innej szkole rozpoczynana — nie szła mu jakoś. Z pracy na ogół „wylatywał" — raz nawet na dwa i pół roku do więzienia za przywłaszczenie państwowych pieniędzy. I to wtedy, kiedy los uśmiechnął się do niego i wybrany został sekretarzem GRN w Niedźwiedzicach. Jakiś czas doryweczo tylko pracował u gospodarzy, a kiedy trafiła mu się praca w PZUZ, zaczęło się jego zasobne w dobra doczesne życie. Kradzione przedmioty — te widoczniejsze — w pierwszej fazie przetrzymywał na strychu, a potem lokował w mieszkaniu, które dzięki temu stawało się coraz przytulniejsze. Dyrektorskie fotele, biurko, GRN-owskie dywany i zasłony — dodawały mu krasy. Spore łupów sprzedawał — nie brakowało więc i żywej gotówki.

„Sam nie wiem, jak to się mogło stać, że znów wszedłem w kolizję z prawem" — pisze w prośbie o zwolnienie go z aresztu tymczasowego. To zwykle kłamstwo — wie bowiem dobrze, iż stało się to dlatego, że chciał za wszelką cenę być bogatym człowiekiem. A za pieniądze inseminatora bogactwa nie kupisz.

Jako inseminator bywał w wielu gospodarstwach, zarówno indywidualnych rolników, jak i PGR. Pełniąc swe obowiązki służbowe jednocześnie snuł swe zgoła przywiązane plany na najbliższą lub dalsze noce. Bo jak nietoperz — polował nocą. Na rowerze albo na motorze — środku lokomocji i transportu.

Dopiero 3 maja br. w Rokitnicy stróż nocny zwrócił uwagę na nieznanego, ale podejrzanie kręcącego się w pobliżu PGR, mężczyznę, na dodatek odkrywszy jego zamaskowany w krzakach motocykl — zawiadomił o tym MO. Sądząc, że śledzono go od dawna, inseminator ze Studnicy, RYSZARD OLESZKIEWICZ, przyznał się do wszystkich, od ponad czterech lat popełnianych kradzieży. Rewizja domowa ujawniła ponad 150 skradzionych przedmiotów, które zwrócone zostały właścicielom.

Tak skończyła się „uczciwa praca" człowieka, który — jak sam twierdzi — „cieszył się wszędzie dobrą opinią".

MAJA

Raczkująca sprawa

Powstanie filii legnickich Zakładów Przemysłu Dziewiarskiego im. Hanki Sawickiej przyjęto w Bolesławcu z otwartymi rękami. Nie dziwnego, przy ogólnie znanym braku miejsc pracy dla kobiet perspektywa zatrudnienia w nowym zakładzie blisko tysiąca nej załogi kobiecej była dla władz miasta bardzo nęcąca. Wydawało się więc, że adaptacja dziewiarskiego przemysłu w Bolesławcu nastąpi sprawnie i bez kolizyjnie. Okazuje się jednak, że przy dość szerokiej rozwidlicej powiatowej biurokracji i obojętności (nie tylko zresztą powiatowej) bezkonfliktowe dopięcie wszystkich spraw związanych z nowym zakładem jest niemożliwe. Ale nie uprzedzajmy faktów...

SŁUSZNIE niejednokrotnie podkreśla się, że tzw. inwestycje towarzyszące nie mogą zostawać w tyle za tymi zasadniczymi — przemysłowymi. Łatwo się jednak mówi, w praktyce bowiem właśnie inwestycje towarzyszące traktowane są po macoszemu. Legnicka dyrekcja zakładów imienia Hanki Sawickiej mając na względzie liczbę zatrudnionych w bolesławieckiej filii kobiet i ich potrzeby, zaplanowała wybudowanie przyzakładowego żłobka na 80 i przedszkola na 120 miejsc. Jednak już po zakupieniu typowego projektu wyłoniły się pierwsze trudności w ulokowaniu tegoż projektu w odpowiednim biurze projektowym, w celu zaadaptowania go do bolesławieckich warunków.

Po wielu interwencjach praca zostaje przyjęta przez Terenowy Zespół Usług Projektowych przy PRN w Bolesławcu. Mniej więcej w tym samym czasie powstaje nowy problem — brak bowiem wykonawcy, a Wojewódzka Komisja Rozdziału Robót nie wstawia inwestycji do planu. Z konieczności więc projekt zdaptowany bez porozumienia się z wykonawcą.

Mimo odmowy z Wrocławia, dyrekcja „Hanki Sawickiej" nie rezygnuje ze swych planów. Po interwencjach u władz bolesławieckich, wojewódzkich, w zjednoczeniu, w Ministerstwie Przemysłu Lekkiego oraz w Centralnej Komisji Rozdziału Robót w Warszawie właśnie w styczniu tego roku na wojewódzkim szczeblu zapada pozytywna decyzja, a wykonawcą generalnym ustanawia się Bolesławieckie Przedsiębiorstwo Budowlane.

Wydawało by się mogło: że wreszcie zakończą się wszystkie kłopoty, a budowa żłobka i przedszkola ruszy pełną parą, jako że ze względu na rodzimy patriotyzm bolesławieckim budowlańcom powinno zależeć na inwestycji przynaszącej korzyść miastu. Co tu dużo mówić — przełożono się. Po przekazaniu dokumentacji BPB stwierdziło, że w adaptowanym projekcie są usterki. Pół biedy byłoby jeszcze, gdyby skończyło się na jednorazowym wykazaniu wszystkich niedociągnięć projektowych, ale to wyszukiwanie ciągnie się kilka miesięcy. Niezliczona już ilość razy projekt wędrował na trasie Bolesławiec — Legnica — Wrocław, jako że projektant zdążył się tymczasem przeprowadzić do Wrocławia. Jak twierdzą złośliwi, (a może właściwiejszy byłby wykrzyknik) zaczęto szukać nie tyle usterek w projekcie, co... dziury w całym, żeby tylko na plac budowy nie wejść. I trudno się dziwić tym nieoficjalnym zdaniom, jeżeli się weźmie pod uwagę na przykład sprawę zorganizowania placu budowy, co — jak twierdzi wykonawca — należy do zakładów dziewiarskich. Dyrekcja tychże zakładów próbuje zlecić dokumentację projektowo-kosztorysową. Niestety, wszystkie możliwe biura i zespoły usług projektowych odpowiadają odmownie, tłumacząc jednocześnie, że sprawa ta należy do wykonawcy. W końcu zlecono wykonanie projektu prywatnie pracownikom... Bolesławieckiego Przedsiębiorstwa Budowlanego. Nie możemy się tu oprzeć zacytowaniu krążącej po Bolesławcu wieści, że „... o to przecież chodziło".

Na tym jednak zakończył się tylko jeden z etapów kłopotów. Są jeszcze i inne, do tej pory nie rozwiązane. Otóż w innym miejscu, gdzie ma stanąć żłobek, pałoszy się rudera, podlegająca rozbiórce. Nie można jednak jeszcze do niej przystąpić, ponieważ mimo wielokrotnych monitów w Prezydium PRN i MRN w Bolesławcu, ze straszącej rudery nie wywakerowano jednego lokatora. Nie popisują się w tym przypadku władze miejskie, którym sprawa jak najszybszego wybudowania żłobka i przedszkola powinna leżeć na sercu. Nie popisały się zresztą i inne bolesławieckie instytucje, takie jak MZBM i Powiatowy Zarząd Gospodarki Terenami, które miały przekazać pod przedszkole uporządkowany teren po ogródkach działkowych. Zobowiązania jednak nie zostało dotrzymane i prace te wykonała dopiero w czynie społecznym załoga zakładów dziewiarskich. Ale i tutaj nie obeszło się bez komplikacji, bowiem użytkownicy ogródków działkowych stawiali stanowczy opór przewiesie porządkowania na ich działkach, ponieważ nikt z władz miejscowych nie poinformował ich o zmianie działek w plac budowy.

„Na pochyłe drzewo wszystkie kozy skaczą" chciałoby się powiedzieć, gdy słyszy się, że do tych wszystkich problemów z wreszcie znalezionym, ale kapryszącym wykonawcą i niezbyt solidnymi władzami Bolesławca, doszedł jeszcze brak chętnych na objęcie nadzoru inwestycyjnego. Pierwotnie wprawdzie powiedzenie nadzoru zapewniał ODIM w Legnicy, lecz placówka ta uległa likwidacji. Zwrócono się więc do ODIM-u w Jeleniej Górze. Niestety, nadeszła odpowiedź odmowna i nie nie pomogły monity w tej sprawie w Wojewódzkim Zarządzie Inwestycji Miejskich we Wrocławiu. „Wszystkie dyrekcje są nadmiernie obciążone realizacją własnych inwestycji oraz wcześniej zgłaszanych robót zleconych" — wyjaśnia WZIM. Trudno nie wierzyć w te zapewnienia, ale — i tu znowu cytujemy wieści krążące na trasie Legnica — Bolesławiec — Jelenia Góra: „gdyby nadzór zlecono prywatnie, to dałoby się coś zrobić...". — Potrzebno sobie jednak tym razem być prywatnych zleceń, a nadzór obejmie Centralne Laboratorium Przemysłu Dziewiarskiego i Pończoszniczego w Łodzi. Oczywiście nadzorowanie budowy z Łodzi będzie znacznie kosztowniejsze, ale spacer od inwestycji miejskich to nie interesuje. Pokrycie dodatkowych kosztów nie pójdzie przecież z ich kieszeni...

Kiedy jednak w rzeczywistości ruszy budowa nowych obiektów? Nie wiadomo. Jak na razie, Bolesławieckie Przedsiębiorstwo Budowlane ogranicza się do naliczania kar za nieterminowe dostarczenie dokumentacji (wymyślające przy tym coraz to nowe usterki) i za nieterminowe przekazanie placów pod budowy. Zmagania dyrekcji Zakładów Dziewiarskich im. Hanki Sawickiej z BPB spokojnie są obserwowane przez władze Bolesławca... Szosja droga obojętność ta może dziwić.

M. AJDUKIEWICZ

Nad Sanem i gdzie indziej

WYDAJE się to nieprawdopodobne, a jednak są ludzie, którzy nie wyglądają z tęsknieniem okresu letnich urlopów. Mam na myśli działaczy związkowych i pracowników komórek socjalnych przedsiębiorstw. Nie od dziś są kłopoty z rozdziałem wczasów, szczególnie drastycznie występują w większych przedsiębiorstwach. Wtedy też wielce zasłużone instytucja — Fundusz Wczasów Pracowniczych — znajduje się pod obstrzałem krytyki.

Wiele lat trudzi dyskusje w lubińskim Przedsiębiorstwie Budowy Kopalń Rud. Miedzi nad problemem wczasów pracowniczych. Radzono na zebraniach organizacji partyjnej, związkowej i posiedzeniach samorządu robotniczego. Niewielkie złagodzenie deficytu miejsc w domach FWP nastąpiło z chwilą uruchomienia własnego ośrodka campingowego nad morzem i campingu nad jeziorem w Sławie. Ale ostateczne sprawy nie rozwiązano, bo z nadejściem lata wielu górników nie miało dokąd jechać na relaks, jak to bywało w niedalekiej przeszłości, a tymczasem 16 sierpnia br. Władysław Starzec, szygar „odelegowany" do pracy w Zarządzie Zakładowym ZMS, miał kłopoty ze skompletowaniem chętnych na wyporzynek do ośrodka campingowego w Zegórzu: jeszcze nigdy nie było podobnej sytuacji, wreszcie zapewniliśmy całej załodze możliwość spędzenia urlopu w atrakcyjnych miejscowościach.

Camping nad jeziorem w Zegórzu jest ostatnim nabytkiem. Przedsiębiorstwo otrzymało na dwa lata pięć domków z dwudziestoma miejscami. Jest to darunek huty szkła za wybudowanie przez lubińskich górników kładki. Budowa rzecznych kładek w czynie społecznym, a następnie wypoczynek na koszt tych, dla których wiszący most został wykonany — to nowa, nigdzie dotąd nie praktykowana forma wczasów robotniczych w lubińskim PBRKM.

Zaczęło się od inżyniera Kazimierza Gołąby, szygara oddziałowego kopalni „Polkowice". Urodzony w Siedliskach, bieszczadzkiej wsi, z własnego doświadczenia znał największą bolączkę miejscowej ludności, mianowicie brak łączności pomiędzy dwoma brzegami Sanu. Od dzieciństwa marzył o dniu, kiedy wieś otrzyma most. Podczas urlopu spędzonego w 1986 roku u rodziców wpadł na pomysł przerzucenia przez San wiszącej kładki. Do tego celu miałyby służyć liny maszyny wyciągowej wycofane z eksploatacji w szybie. Liny, wartości setek tysięcy złotych, przeznaczone są na złom ze względu na wystarkowy obostrzone w górnictwie przepisy w zakresie bezpieczeństwa, ale ich stan techniczny jest bardzo dobry, mogą służyć przy dobrej konserwacji mostu, dwadzieścia lat.

W 1986 r. kładka połączyła oba brzegi Sanu. W zamian miejscowi rolnicy poprosili budowniczych i ich rodziny na urlop, pokrywając koszty utrzymania. Na obóz wyjechało 45 osób, wszyscy chwalili sobie pobyt w górach, znanych z pięknych widoków i doskonałego klimatu. W sierpniu na wczasach nie wsi Wybrzeże przebywało 59 osób w nagrodę za kolejną, czwartą kładkę przekazaną mieszkańcom rzeszowskiej wsi.

Pracownikom „pebeku" i ich rodzinom do gustu przypadły bieszczadzkie wywczasy. Nocleg w gościnnych i schludnie utrzymanych domostwach zapewnili gospodarze. O wikt zadbała polowa kuchnia, którą dyrygował Piotr Jarzębski, w „cywilu" magazynier kopalni „Polkowice - Główne". Obiady, gotowane i spożywane na wolnym powietrzu, bardzo wszystkim smakowały. Dopisało słońce, górskie powietrze i czysta woda w Sanie. Wszyscy z którymi rozmawiałem na miejscu: górnik „Polkowic" Zachodnich" Augustyn Stefański, szygar „Lubina Głównego" Franciszek Wrona i Teresa Gościńska, stwierdzili, że był to ich najlepszy urlop.

W ostatnich dniach sierpnia z kolejnego obozu powróciła grupa ZMS-owców. Przewodniczący Władysław Starzec mówi: — Koledzy moi w czynie społecznym wybudowali kładkę w Zagórzu. Tym razem odpoczynek zdecydowali był z pracą społeczną, ale w następnych dniach załoga ma zagwarantowane wczasy w tamtejszym ośrodku campingowym.

Już się martwimy się z powodu skąpych przydziałów na wczasy FWP.

CZESŁAW KRYCZEK

WYBIERAMY SOBIE FILM

Ocena krytyki:
- **** — wybitny,
- *** — bardzo dobry,
- ** — dobry,
- ** — dyskusyjny,
- * — słaby,
- — zły.

Ocena publiczności:
- A — bardzo wieszwy,
- B — trudny,
- C — dobra rozrywka,
- D — raczej słabo,
- E — nudny.

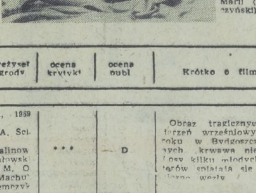

Kadr z filmu A. Schora - Rybińskiego „Sąsiedzi". Wybuch wojny niweczy miłość Hiotra (J. Matiakowski) i Anny Marii (Evelyn Oppenzówski).

Tytuł filmu	Rodzaj filmu	Produkcja reżyser aktorzy nagrody	ocena krytyki	ocena publ	Krótko o filmie
SĄSIEDZI	dramat wojenny	prod. polska, 1989 panor. reż. i scen.: A. Scibor-Rylski wyst.: T. Kalinowski, J. Matiakowski, J. Nowak, M. Opanto, J. Machulski, L. Niemirski	* * *	D	Obraz tragicznych wydarzeń wrześniowych 1939 roku w Bełzynach nowy czy kresowa siedzieli" Lata kilku wiodych bohaterów ostatnia się w tra...
ZEMSTA HAJDUKÓW	Kostumowo-przygodowy	prod. rumuńska, 1981 kol. dub. reż.: Dinu Cocea wyst.: Emanoil Petrut, Marga Barbu, George Constantin	* *	E	Dzieje rumuńskiego ruchu walki „mężnych hajduków" z tureckim panowaniem w Wołoszczyźnie w początkach XIX w.
CZŁOWIEK Z HONGKONGU	komedia przygodowa	prod. franc.-włoska 1965 kol., dubbing reż.: Philippe de Broca, wyst.: Jean-Paul Belmondo, Ursula Andress, Jean Rochefort, Jess Hahn, Dary Cowl.	* * *	C	Rozrywkowy film akcji, oparta powieść polegająca na wielbrania niewiarygodnych, dopodobnych historii w egzotycznych plenerach.
MIĘDZY WRZEŚNIEM A MAJEM	dokument.	prod. polska, 1969, reż.: Roman Wionczek.	* * * *	A	Polacy na wszystkich frontach II wojny światowej.

wiadomości

Redaguje kolegium w składzie: Władysław Bielawski (redaktor naczelny) Romuald Nodzyński, Marian Orzechowski, Tymon Pollak (zastępcy redaktora naczelnego)

Adres redakcji: Wrocław Pocztowa 52 telefony 340 31 wewn. 253 i 255. Red. naczelny 44 skrzynka 139 94. Biuro ogłoszeń Wrocław ul. Pocztowa 52 Wzór ich informacji o sposobie zamówienia ogłoszeń oraz cenników ogłoszeń ul. Ruchu" poczta.

Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" Wrocław ul. Piotra Skargi 5/9.

Wydawca Wrocławskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" Wrocław ul. Pocztowa 52.

3-6/10

Szklana belka

Wyirzymuje ciężar człowieka prawie bez ugięcia. Ale nie chodzi tylko o wytrzymałość. Szyba z nowego tworzywa w upalne południe odbija promienie słoneczne, w mroźny ranek natomiast przepuszcza je do pokoju. Na tym polega istota wynalazku radzieckiego naukowca, A. Motulewicza.

Czarne na białym

Czego się nie robi dla zrobienia męskich spodni. Jedna z zachodnich dyktatorek ekstravaganckiej mody, Marion Xylander, wymyśliła długie buty... w różnych kolorach. Oczywiście każda sztuka z pary posiada inny kolor. Najchętniej poszukiwana kombinacja – czarno-biała. Może być także każdy inny rzetelny, była odpowiednio kontrastujący. Słowem – nogi mienią się w oczach.

Obraza moralności

Festyn ludowy w Milwaukee (stan USA), Wisconsin) miał być uświetniony występem meksykańskiego zespołu „Latających Indian z Acapulco". W momencie, kiedy artyści przedstawiali na scenie rytuał ofiarowania bogom, jedna z występujących, Carmen Perez, obnażyła swoje piersi. To wydało się dyżurnemu policjantowi obraza moralności, więc w poczuciu obowiązku wkroczył na scenę, łądając zaniepokojonych deteli. Artyści powołali się na wiekowy rytuał. Policjant zrezygnował z natychmiastowej interwencji, odczekał do końca przedstawienia, a następnie odprowadził aktorkę na posterunek.

Czternasty cnotliwy?

W Hanowerze (NRF) przeniesiono 13 policjantów do dzielnic, w których nie ma cór Koryntu. Dowiedziono bowiem, że wszyscy oni czerpali finansowe korzyści z dorywczego zatrudnienia w charakterze „opiekunów". Tylko jeden policjant udowodnił, że ten proceder nie był dla niego źródłem dochodu. Wręcz odwrotnie.

Podniebne hobby

Arnold Russel z St. Petersberg (USA) kolekcionuje stare samoloty. Posiada w swym takich jest na świecie bardzo mało. Hobbysta sam wykonuje modele na podstawie starych fotografii i rysunków technicznych.

Okazja

Amerykańskie rozgłośnie radiowe w NRF emitują w swych programach również teksty reklamowe, werbujące ochotników do Wietnamu. Oto fragmenty propozycji: „Jeśli chcesz zobaczyć, gdzie się coś dzieje, a dotąd nie miałeś ku temu okazji, zwróć się do naszych doradców, którzy gwarantują ci Karierę! W ciągu trzech tygodni będziesz już w drodze do celu". Zwłaszcza odnośnie do amerykańscy żołnierze chętnie odsłąpią szarfse „kariery" zachodnionie niemckim ochotnikom.

Wyciągnięte dłonie

Zdjęcie to wykonano w jednym z w[illegible]skich ogrodów zoologicznych, przed klatką z małpami.

Ostrożnie z brzytwą

Nim wyglądzą męski podbródek brzytwą, uczennice zawodu fryzjerskiego w Budapeszcie, przechodzą wielogodzinne ćwiczenia na specjalnym plastykowym modelu. Pomysł dobry – ostrożności nigdy za wiele.

Plotki

Liz Taylor odrzuciła propozycję swojego paryskiego fryzjera Aleksandra. Nie ufarbuje sobie pierwszych siwych włosów na czarno.

*

Hardy Krueger wybudował, obok swej myśliwskiej posiadłości w Tanzanii (Afryka Wschodnia) fabrykę wyrobów mięsnych. Przedsięwzięcie „finansowo sięga 800 tysięcy franków szwajcarskich towarzystwo inwestycyjne.

Ogłoszenie drobne

„Byłj najemnik z Konga, biały, oferuje twoje usługi. Gotów na wszystko za najlepszą płacę. Oy skrzcia Oferty składać: 857.52-8 Dow Poszy Bayerstrasse".

(Z mnochnijszego pisma bulwarowego „IZ").

Obejdzie się, bez operacji?

Popularna na Zachodzie piosenkarka, satyra na falę seksu, Gora Vidala pt. „Myra Brec Kinrtzgew", ma zostać sfilmowana. Główną rolę obejmie Raquel Welch. Ta decyzja wywołała już serię komentarzy. Myra jest bowiem facetką, która przemieniła się fanatomicznie z chłopca w dziewczynę. Jak widać na zdjęciu, dość ciężkie zadanie czeka charakteryzatora tego filmu.

Bruno Brożyniak

Umowa o obrotach

AMBASADOR i premier, ubrani w czarne fraki, szli przed frontem dywizji honorowej. Dywizja w przepysznych mundurach koloru amarantowego, tworzyła front długości 11 km. Na 16 kilometrze premier zemdlał ze zmęczenia, ale szedł dalej, ciągnięty przez ministra spraw zagranicznych na przeźroczystej lince nylonowej.

Potem zagrzmiały armaty. Wśród huku 112 uroczystych salw obaj dostojnicy wkroczyli do wspaniałego pałacu i zasiedli wraz z towarzyszącą świtą przy stołach. Od huku dział ambasador i premier ogłuchli, nobo czego założyli dyskretnie do swych uszu aparaty wzmacniające z macicy perłowej, inkrustowane złotem. Ze wszystkich tuczy można było wyczytać, iż zbliża się uroczysta chwila. Sekretarze wolno rozkręcali złote pióra.

Dostojnicy ujęli je w ręce i oto umowę handlową o zwiększeniu obrotów między USA a południowamerykańskim państwkiem Pigwador została podpisana. Ustalila ona, że premier Pigwadora, baron Lugo Raz będzie się kręcił wokół ambasadora USA z szybkością 367 obrotów na minutę. Dalszego zwiększenia obrotów umowa handlowa nie przewiduje, gdyż baron mógłby nabrać zbyt wielkiej szybkości i uleciać w przestrzeń kosmiczną, a – jak wiadomo – państwo Pigwador nie planuje wystrzeliwania własnych sputnjków.

Znów zabrzmiały uroczyste salwy. Zaraz potem premier, baron Lugo Raz zaczął się kręcić. Minister spraw zagranicznych liczył obroty.

Tym to dobrze!

Rys. W. Fuglewicz

Cień, czyli twój najbliższy

Rys. A. Owczarek

Rys. R. Szecówka

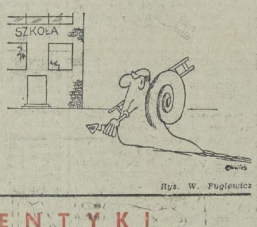

Rys. W. Fuglewicz

AUTENTYKI

NA PAPIERZE

Za czechosłowackim dwutygodnikiem „Kino" nasz film przedstawiają fragmenty reportażu, w którym znalazła się taka wypowiedź reżyserki very Chytilovej:

„Nie podoba mi się wenarnisz. Wydaje się, że nie odpowiada temu, co chciałabym pokazać w filmie. Muszę improwizować i coraz bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że jest niemożliwe napisanie filmu na papierze. Trzeba kręcić to, co nosi się w sobie".

Trzeba być aż reżyserem, żeby dojść do takiego przekonania.

JESZCZE JEDEN?

Andrzej Wróblewski w artykule „Pale Sopot" stwierdza w „Życiu Warszawy", że „Dzień Płytowy trzeszczy w szwach". Wobec tego proponuje:

„...widziałbym potrzebę zorganizowania Międzynarodowego Festiwalu Fonografiezego w Katowicach, Wrocławiu lub w Warszawie".

Hiff, jeszcze jeden? Zastosujmy wobec autora taryfę ulgową. Należy mu się, wymienił Wrocław.

CO CIĘ DZIWI...

„...w Telewizji? Na takie pytanie odpowiadają czytelnicy „Gazety Zielonogórskiej". Oto jedna z odpowiedzi:

„Dziwi mnie sama nazwa, bo skoro telewizja, to dlaczego tyle tam gadania".

SMIECH „KARUZELI"

„Karuzela" zamieściła taką fraszkę pana Sztaudyngera.

„Pokochałby tę białogłowę
Co umie włożyć majtki przez głowę".

Jędrne, zdrowe, zrozumiałe...

UCZUCIA I MYSLI

„Życie Warszawy" w nuce ni, albumu „Sto lat na Nowym Świecie" o sławnym cukierniku Bukiem pisze tak:

„Jest to nie tylko książka, która głosi pochwałę rodu cukierniczego, pochwałę tych zacisznych lokalików, w których rodziły się uczucia i myśli".

Dziś zapewne w takich lokalikach rodzą się ciastka, co się dawniej nie zdarzało.

Z CZEGO SIĘ SMIEJĄ W ZSRR?

KULTURA OBSŁUGI

Kelner A. Łonsw przepisał w kilku językach klienta, którego oblał zupą.

OGŁOSZENIE

Doświadczony fizyk, kandydat nauk przygotowuje na wyższe uczelnie: fizyka, matematyka, zoologia, reperuje, łatuje rondle, również pracuje na kauczuku.

(„Literaturnaja Gazieta")

WL.

tv

czwartek

8.15 — „Matematyka w szkole". 16.35 — Dziennik. 16.45 — Teleteatr. 17.45 — Rozmaitości. 18.00 — Bryza. 18.30 — Program filmowy. 19.00 — Nowy rok szkolny w TV. 19.20 — Dobranoc. 19.30 — Dziennik. 19.55 — Przypominamy, radzimy. 20.00 — Kronika Centralnej Spartakiady Młodzieży. 20.10 — „NAJEMNY MORDERCA" — film włoski. 21.55 — Magazyn medyczny. 22.25 — Dziennik.

piątek

10.00 — „Czyżbyś jeszcze żył" — film bułg. 16.15 — Zapowiedź Dnia TV Bułgarskiej. 16.20 — „Bułgarskie wesele" — film. 16.35 — Dziennik. 16.50 — Film dla dzieci. 17.05 — „Bułgaria" — (telenurnie). 18.00 — „Największy na Bałkanach" — felieton. 18.25 — „Konfront-cie" — film. bułg. 19.00 — Przemówienie Ambasadora Ludowej Republiki Bułgarii. 19.20 — Dobranoc. 19.30 — Dziennik. 20.00 — Kronika Centralnej Spartakiady Młodzieży. 20.15 — Kino Międzynarodowych Filmów „ORJAZD" — film bułg. 21.35 — „Cztery gołębie i chłopak" — film rozrywkowy. 22.05 — Zakończenie Dnia TV Bułgarskiej.

sobota

9.55 — „Ukształtowanie poziome Europy" (kl. VII). 10.30 — „Objazd" — film bułg. 16.15 — „O sporcie szkolnym". 16.35 — Dziennik. 16.45 — „Sport i zabawa" (program NRD). 17.40 — Spotkania z przyrodą. 18.05 — Rozmaitości. 18.20 — Zespół muzyczny „Pakt" (Wrocław). 18.30 — „Rezer" — magazyn kulturalny. 19.20 — Dobranoc. 19.30 — MONITOR. 20.10 — „Z WIZYTĄ U NEPTUNA" — widowisko rozrywkowe. 21.10 — Dziennik. 21.25 — Kronika Centralnej Spartakiady Młodzieży. 21.40 — „LES GIRLS" — film USA. Wykonawcy: KAY KENDALL, GENE KELLY i in.

niedziela

9.00 — Stawka większa niż życie. 9.55 — Centralne Dożynki (transmisja ze Stadionu X-lecia). 13.00 — Dziennik. 13.15 — „Kawcie się z nami". 13.55 — „Kasztanowy dziadek". 14.45 — PKF. 15.00 — „Kolorowy jarmark" (z Berlina). 15.52 — Losowanie Toto-Lotka. 16.00 — Transmisja z piłkarskich mistrzostw świata Polska — Holandia (Chorzów). 16.45 — „Jak grają nasi piłkarze" (dyskusja). 18.00 — Film. 18.25 — „Azoty od tańca do wieczora" (Łuczuja i zdarzenia). 18.52 — „Oficer i szpi". 19.56 — Dobranoc. 19.30 — Dziennik. 20.00 — Kronika Centralnej Spartakiady Młodzieży. 20.15 — „ROZWÓD Z MIŁOŚCI" — film węg. 21.45 — Recital piosenkarski. 22.10 — „Klub prof. Tutt". 22.30 — Magazyn sportowy.

poniedziałek

16.35 — Dziennik. 16.45 — Opowieści ze świata zwierząt. 17.10 — Echo stadionu. 17.30 — Rozmaitości. 17.55 — Program publicystyczny. 18.20 — Festiwal Filmów Morskich. 18.45 — Eureka. 19.20 — Dobranoc. 19.30 — Dziennik. 20.00 — Przemówienie Ambasadora Koreańskiej Republiki Ludowej. 20.10 — Kronika Centralnej Spartakiady Młodzieży. 20.20 — Festiwal Teatrów Dramatycznych C. K. NORWID — „KLEOPATRA I CEZAR" (Teatr J. Osterwy z Lublina).

wtorek

9.00 — Parada wojskowa z okazji święta narodowego Ludowej Republiki Bułgarskiej (z Sofii). 10.20 — „Skarb Kapitana Martesa" — film polski. 12.00 — Wybieramy zawód. 17.45 — „Przygotowanie polityczne. 18.30 — „Jenifer" (w Bułgarii" — film bułg. 15.15 — Transmisja z uroczystości zakończenia Centralnej Spartakiady Młodzieży. 17.30 — Dziennik. 17.40 — Sigma. 17.51 — TEM. 18.20 — Dobranoc. 19.30 — Dziennik.

środa

9.40 — „Nigdy nie kłamia" — film węg. 10.55 — „Składanie sił" (kl. VII). 17.45 — Wychowanie obywatelskie. (kl. 8). 16.35 — Dziennik. 16.45 — Opowieści ze świata zwierząt. 17.10 — Magazyn ITP. 17.30 — Rozmaitości. 17.25 — „Romeo i Julia" — film baletowy. 18.05 — Występ ludowego zespołu pieśni i tańca z Bułgarii. 18.40 — Magazyn „Dosjer". 19.20 — Dobranoc. 19.30 — Dziennik. 20.05 — GIERDA PIOSENEK. 20.30 — Światowid. 21.10 — PKF. 21.26 — Estrada Literacka „NORWID". 22.00 — Dziennik.

Prawie jak z tej ziemi

OPOWIEŚCI KRYSTYNY KRUSZYŃSKIEJ